

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 9 Jeruzolima, 1 sierpnia 1943 r. Rok I

FLORJAN SOKOŁÓW

WOJNA I POKÓJ

Londyn, w maju 1943 r.

Gdy słowa te piszę — po wielkim zwycięstwie sprzymierzonych w Tunisie — ostateczna klęska państw osi wydaje się już tylko kwestią czasu, może niedalekiego. Rachuby Hitlera i Mussoliniego na niezdolność starych demokracji do zbiorowego wysiłku w walce z „młodymi dynamicznymi dyktaturami faszystowskimi” zawiodły. Legenda o niezwykłej sile Trzeciej Rzeszy została trzykrotnie pogrzebana — w bitwie powietrznej nad Anglią, pod Stalingradem i w Afryce Północnej. Sytuacja odwróciła się całkowicie. Dzisiaj Niemcy przeszły do defensywy, mówią o wojnie na wyczerpanie, podczas gdy sprzymierzeni biją ich blitzem, tą właśnie bronią, której Hitler zawdzięczał swe sukcesy w pierwszej fazie wojny. Biją ich w powietrzu, na lądzie i na morzu.

Potencjał wojenny sprzymierzonych wzrasta nieustannie, podczas gdy potencjał wojenny Niemiec i Włoch szybko wyczerpuje się i musi nastąpić moment tak wielkiej przewagi po stronie aliantów, że bezwarunkowa kapitulacja osi w Europie będzie nieuniknionym logicznym wynikiem rozwoju wypadków wojennych, pomijając już zatamującą się „morale” ich wojsk pod wpływem całej serii ostatnich klęsk.

Na cóż więc Niemcy liczą? W jaki sposób chcą zażegnać swą katastrofę i osiągnąć kompromisowy pokój? Nadzieje ich związane z Ubotami, bronią istotnie bardzo niszczycielską, wyrządzającą poważne straty żegludzie sprzymierzonych, również zawiodły, tak samo jak w tamtej wojnie. Anglia i Ameryka budują znacznie więcej statków handlowych, niż tracą. Ich flota wojenna jest dzisiaj o wiele potężniejsza, niż przed wybuchem wojny. Bitwa o Atlantyk dawno już została przez Niemcy przegrana. W tym stanie rzeczy czynią one największe wysiłki w dwóch kierunkach.

Po pierwsze starają się za wszelką cenę poróżnić sprzymierzonych. W tym celu propaganda niemiecka operuje przede wszystkim straszkami bolszewickim. Ale Niemcy, którzy są dobrymi rachmistrzami sił materialnych, zawsze byli kiepskimi psychologami. Nie są w stanie zrozumieć, że jakkolwiek istnieją poważne różnice między narodami zjednoczonymi, ustępują one dzisiaj na plan dalszy wobec przepaści, która dzieli ich od Niemiec i ich satelitów.

Po drugie, Niemcy oddają się złudzeniom, że, przedłużając wojnę, zmęczą swych przeciwników, że doprowadzą do zaostrzenia antagonizmów wewnętrznych wśród walczących demokracji i w ten sposób uda im się uniknąć zupełnego pogromu. I to są marzenia ściętych głów. Wspólne zwycięstwa nigdy nie podkopują jedności w czasie wojny, lecz wzmacniają ją.

Jest więc zupełnie naturalne, jeśli chodzi o wynik wojny, że w Anglii i w Ameryce opinia publiczna uświadomiona jest optymistycznie, jakkolwiek zdaje sobie sprawę, że ostateczne zwycięstwo wymagać będzie wzmocnionych wysiłków i wielkich ofiar. Ale wygranie wojny to jeszcze nie wszystko. Trzeba wygrać pokój. „That is the question”. W roku 1918 wojna również była wygrana, a okres 1918—1939 nie był pokojem. Było to zawieszenie broni.

Pierwszym warunkiem prawdziwego pokoju jest, aby jedność sprzymierzonych przetrwała też wojnę. Byłoby wielką przesadą utrzymywać, że grunt do tego jest przygotowany. Pokój to nie tylko zaprzestanie działań wojennych, lecz w znacznie większej mierze problem konstrukcyjny, wymagający współpracy międzynarodowej. Istnieje obawa konfliktu ideologii, zakorzenionych tradycji, interesów, powtórzenia starych błędów, popełnionych po tamtej wojnie, które doprowadziły do dzisiejszej katastrofy. Oczywiście, wszystko to są dalsze troski. Przedwczesne wytaczanie ich na forum publiczne jest dziś niewskazane, może bowiem, osłabić wspólny wysiłek, który winien być kategorią imperatywu. Lecz z drugiej strony zrozumiałym jest, że ci, co walczą, chcą wiedzieć, o co walczą. Stanowisko rządów sprzymierzonych musi z natury rzeczy mieć charakter ogólnikowy. Karta Atlantyczna ogranicza się do ustalenia wytycznych, na których ma być oparty przyszły ład świata. Zasady mogą być różnie interpretowane, a realizacja ich zależeć będzie od układu sił i części od czynników nieobliczalnych. Wiemy również, że jedno z mocarstw alianckich rozumie Kartę Atlantyczną inaczej, niż reszta

sprzymierzeńców. Na tym tle mogą wynikać i inne spory poza sowiecko-polskim.

Jak się do tego ustosunkowuje opinia anglo-saska? Niełatwo na pytanie to odpowiedzieć. Obserwując przejawy tej opinii, można byłoby raczej stwierdzić, że nie ma ona wyraźnego stanowiska wobec problemów wojennych. „The man in the street” — przeciętny obywatel, uważa Niemcy za wroga numer pierwszy, pragnie takiego zwycięstwa, które położyłoby kres wojnom, widzi w hitleryzmie i faszyzmie największe zło i domagać się będzie kary na sprawców tej wojny, doszczętnego wytępienia ich ideologii. Sympatyzuje on z uciśnionymi przez najeźdźców narodami. Jest zwolennikiem przywrócenia ich wolności i niepodległości. Lecz skomplikowane sprawy międzynarodowe leżą poza obrębem jego bezpośrednich zainteresowań, słabo się w nich orientuje. Na ogół poglądy jego urabiane są przez prasę, przez radio i oświadczenia mężów stanu. Wobec tego, że nastawienie prasy oraz wszystkich środków masowej sugestii, jakimi rozporządza państwo, mają w czasie wojny charakter wybitnie koniunkturalny, zależny od jej przebiegu, stosunek takiego przeciętnego obywatela do omawianych spraw musi ulegać zmianom i wahaniom. W Anglii, na przykład, Rosja jest znacznie popularniejsza niż w Ameryce, z tej prostej przyczyny, że Anglia bardziej bezpośrednio odczuwa wkład jej do wspólnego zwycięstwa, niż Stany Zjednoczone, dla których Sowiety są sojusznikiem mniej ważnym wobec nieangażowania się w wojnę przeciw Japonii. Stosunek opinii angielskiej do Francji zmienił się ostatnio bardzo na korzyść pod wpływem wydatniejszego udziału jej w wojnie na terenie Afryki. Polska jest

szanowana, jako naród waleczny, który pierwszy przeciwstawił się agresji niemieckiej, nie wydał ani jednego Quislinga, odznaczył się w bitwie nad Anglią i dalej walczy na wielu frontach.

To wszystko są raczej reakcje emocjonalne, i błędem byłoby wyciąganie z nich wniosków na dłuższą metę. Poza tym jeśli chodzi o nastawienie najszerzych warstw ludności Anglii i Ameryki do innych narodów, wyraża się ono niewątpliwie w sympatii dla państw, które zdobyły sobie opinię demokratycznych, i w nieufności do tych, które przedstawiane im są jako mniej lub więcej reakcyjne. Lecz gdybyśmy zapytali przeciętnego Anglika lub Amerykanina, jak należy zorganizować Europę, jakie granice powinny być utrzymane, a jakie zmienione, czy trzeba wskrzesić Ligę Narodów, czy też utworzyć takie lub inne federacje i t. d. — trudno byłoby mu dać jakąś określoną odpowiedź.

Panuje powszechne przekonanie, że powrót do dawnego stanu rzeczy, do dawnych „power politics” czy też „balance of powers” byłby tylko utworzeniem drogi do nowych wojen, grozących zupełną zagładą cywilizacji, że muszą nastąpić głębokie przeobrażenia zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i w życiu wewnętrznym państw, że bezpieczeństwo i wolność narodów, nie tylko małych, lecz i wielkich, oparte być mogą jedynie na istnieniu potężnego organu siły międzynarodowej, która broniłaby ich przeciw przyszłym napastnikom, że w tym celu absolutny suwerenitet państw musi być ograniczony tak samo, jak i absolutna doktryna nieinterwencji w sprawach wewnętrznych innych państw, która wydała tak fatalne skutki. Demokracje zachodnie

Polska-Rosja-Wielka Brytania

Jeden z najpoważniejszych periodyków brytyjskich, londyński miesięcznik „The Nineteenth Century and After” publikuje w czerwcowym zeszycie z b. r. artykuł swego redaktora, Voigta, p. t. „Polska — Rosja — Wielka Brytania”.

Autor przytacza tu postanowienia kolejnych umów i traktatów, zawartych przez Polskę i Rosję na przestrzeni od r. 1921 do sierpnia r. 1939 oraz od lipca 1941 r. Umowy te przekonywują go, że polsko-rosyjska granica, istniejąca przed wybuchem obecnej wojny światowej, jest prawnie uzasadniona. Objęcie przez Rosję w posiadanie wschodniej części Polski we wrześniu 1939 r. zostało pod względem prawnym przekreślone przez polsko-rosyjską umowę z dn. 30 lipca 1941 r., pod względem zaś faktycznym przez okupację tego obszaru przez Niemców.

Autor rozprawia się przy tej okazji z upiorem t. zw. linii Curzona, pojawiającym się od czasu do czasu na łamach prasy brytyjskiej. Stwierdza więc, że linia ta została w r. 1920 zaproponowana przez Radę Najwyższą Sprzymierzonych, jako linia demarkacyjna między walczącymi ze sobą armiami: polską i rosyjską. Propozycja została przez obie strony odrzucona, przy czym rząd sowiecki w swej odpowiedzi, przesłał do rządu brytyjskiego, podkreślił, że linia Curzona nie odpowiada warunkom realnym, gdyż jest dla Polski niekorzystna, i że on pragnie ze swej strony zaofiarować Rządowi Polskiemu znacznie dogodniejszą granicę.

Może Rosja ma jednak prawo — pyta się następnie Voigt — z racji przynależności narodowej części ludności Polski do zgłaszania pretensji do polskich ziem wschodnich? Prawda, są to Ukraińcy i Białorusini, ale ani Ukraińcy, ani Białorusini polscy nie pragną wcielenia przez Sowiety.

Autor stwierdza następnie, że rząd brytyjski nie uznaje zmian terytorialnych, przeprowadzonych na obszarze Polski od chwili wybuchu wojny. Traktat sojuszniczy, zawarty przez Wielką Brytanię i Rosję w maju 1942 r., nałożył na obie strony obowiązek powstrzymania się od działań w kierunku poszerzenia ich obszarów. Zobowiązanie to zostało jeszcze wzmocnione przez przyjęcie przez obie strony postanowień Karty Atlantycznej. Zdaniem autora, nie podlega wobec tego dyskusji, że zarówno Wielka Brytania, jak i Rosja, są zobowiązane udzielić Polsce pełnej pomocy przy jej staraniach o odzyskanie całości dawnego jej obszaru.

Voigt wspomina w dalszym ciągu o tych wszystkich zjawiskach czasu ostatniego, które rzuciły cień na stosunki polsko-rosyjskie i które w swym efekcie końcowym spowodowały zerwanie tych stosunków. Podkreśla on, iż zarzut, jakoby Rząd Polski postąpił w tej sprawie lekkomyślnie, jest niesłuszny. Rząd Polski jest wykonawcą woli Narodu Polskiego, a nie agentem, działającym dowolnie.

W artykule przypominano następnie, że władze sowieckie odebrały obywatelom polskim ich dawną przynależność państwową. Autor wyraża w związku z tym zdziwienie, że te same władze stworzyły następnie własne polskie organizacje w rodzaju Związku Patriotów Polskich i dwiżym im. Kościuszki, przekreślając w ten sposób logikę swych poprzednich zarządzeń. Publicysta brytyjski twierdzi następnie, że cała kontynentalna Europa widzi w kryzysie polsko-rosyjskim próbę ważności obowiązujących traktatów oraz próbę zdolności Wielkiej Brytanii do utrzymania w Europie równowagi sił. Wielka Brytania może w Europie stworzyć stan rzeczy dla Rosji niezbędny, eliminując raz na zawsze groźbę niemiecką. Bezpieczeństwo na Zachodzie jest dla Rosji równoznaczne z bezpieczeństwem całego jej obszaru, gdyż daje jej niezdyktowaną pozycję na Dalekim Wschodzie. Przesłanką powstania takiego stanu rzeczy jest właściwe rozwiązanie kryzysu polsko-rosyjskiego. Rozwiązanie to nie może polegać na odstępowaniu jednemu sprzymierzeńcowi połowy obszaru drugiego sprzymierzeńca. Pomijając już moralną stronę takiego załatwienia, dałoby ono fatalne skutki polityczne, umożliwiając Niemcom odzyskanie w przyszłości traconych obecnie pozycji.

Przy rozwiązaniu kryzysu muszą być uwzględniane pewne zasady moralne i pewne życiowe interesy polityczne. Fakt ten nie oznacza wywołania konfliktu z Rosją, przeciwnie, oznacza uniemożliwienie takiego konfliktu w przyszłości.

Autor kończy swe rozważania stwierdzeniem, że obrona t. zw. małych narodów jest dla Anglii nie tylko sprawą zasady, lecz również i praktycznej konieczności. Życiowe interesy Wielkiej Brytanii zależą od stałej niezależności tych „małych narodów”. Jeśli Anglia zostanie wierna swym zasadom i oprze się każdej groźbie, to nie tylko podmuruje swe własne bezpieczeństwo, ale zabezpieczy również i Rosję. Na tej podstawie, i tylko na tej, możliwa jest współpraca z Rosją oraz zlikwidowanie konfliktu polsko-rosyjskiego.

W numerze:

R. Fajans: Na gruzach marzeń o Imperium Cezarów. — M. Górecki: Italska jutrzienka. — W. Bratkowski: O powojenny system monetarny. — Ks. K. Kantak: Paszkwil i ignorancja. — T. Szanfary: Najmniejsza mniejszość narodowa. — W. Domański: Kapral Stępień wygrywa bitwę pod Arbelą. — M. Gram: Na śmierć Szmula Zygielbojma. — J. Czapski: O technice malarskiej. Urywki z dziennika. — T. Terlecki: O poezji żołnierskiej. — J. Czechowicz: O żołnierzu tułaczcu. Wierzbą. — T. Sowicki: Zwrotnik Wilkołaka. — B. Obertyńska: Przedmowa do „Faustyny”. — J. Janusz: Gdzie woda zamieniła się w wino. Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu. — Kronika polska. — D. Sacerbiec: Opinie angielskie. — Z prasy obcej. — Przegląd polityczny.

trzymały się uparczywie tej błędnej doktryny w obawie, że zerwanie z nią pociągnie za sobą bellum omnium contra omnes. Tymczasem właśnie dlatego, że z nią nie zerwano wówczas, gdy tak łatwo było stłumić w zarodku hitleryzm i faszyzm, stało się to, czemu demokracje zachodnie chciały zapobiec — mamy już po raz drugi wojnę światową. Jasne jest, że w czasach dzisiejszych wojny nie można zlokalizować tak samo, jak pokoju nie można rozparcelować, i że zasada niepodzielności wojny i pokoju odnosi się nie tylko do stosunków międzynarodowych, lecz również do sytuacji wewnętrznych poszczególnych państw, t. j. do źródeł wszelkich konfliktów.

Niewątpliwie W. Brytania i Stany Zjednoczone A. P. będą miały wspólnie wybitny, jeśli nie decydujący, wpływ na kształtowanie się przyszłych stosunków pokojowych dzięki swym olbrzymim, niewyczerpanym zasobom materialnym i prestiżowi moralnemu. Ich głos najbardziej zaważy na szalach rozstrzygnięć w budowaniu nowego ładu świata. Dlatego też wszelkie przejawy ich opinii w stosunku do problemów powojennych zasługują na bacznej uwadze. Mówiąc wyżej o nieskrystalizowanej opinii anglosaskiej, miałem na myśli najszerze masy. Natomiast w pewnych kołach politycznych i naukowych wysuwane są różne tezy, które mogą wywołać zaniepokojenie, jakkolwiek nie reprezentują one ani szerokiej opinii, ani wielkich stronnictw, ani czynników rządzących. W kołach tych na ogół przeważają poglądy, że przyszłość należy do olbrzymich organizmów państwowych i że mniejsze państwa będą mogły istnieć tylko w oparciu o wielkie mocarstwa. Pamiętne są artykuły „Times’a” o podziale Europy na strefy wpływów. Dużo hałasu narobiła mapa przyszłej Europy, wykreślona przez prof. Rennera, oraz książka prof. Carra „Conditions of peace”, pomijając już cały szereg innych książek, publikacji i artykułów. Pragnę tylko podkreślić, że cała dyskusja na ten temat, zarówno jak i na inne tematy dalekiego planowania, ma w obecnym stadium charakter tylko akademicki. Jeśli chodzi o przyszły układ Europy, wydaje się, że najbardziej popularną koncepcją zarówno w Anglii, jak i w Ameryce, jest idea federacji mniejszych państw, a nie podporządkowanie ich wielkim mocarstwom, ta właśnie idea, z którą Polska pierwsza wystąpiła w czasie tej wojny. Oczywiście, niepowodzenie projektów federacyjnych byłoby wdzięcznym gruntem dla różnego rodzaju rozwiązań, kłócących się z Kartą Atlantyczną.

Ostatnia wojna skończyła się pod hasłem „samookreślenia narodów”. Hasło to nie zostało wypełnione tą treścią pozytywną, jakiej się dziewano się przed dwudziestu pięciu laty, ale odpowiedzialności za to nie można składać na t. zw. „małe narody”. Cokolwiek można byłoby zarzucić ich nacjonalizmowi, faktem jest, że do wszystkich późniejszych kryzysów i do wojny obecnej przyczyniły się nie małe narody, lecz wielkie mocarstwa. Niemcy nie są niestety „małym” narodem. One to właśnie wyhodowały nacjonalizm w najbardziej potwornej, barbarzyńskiej postaci. Pozornie logiczny argument, którym operują zwolennicy wspomnianych wyżej koncepcji, iż im mniej będzie państw, tym bardziej będzie zabezpieczony pokój — nie jest bynajmniej przekonujący. Doświadczenia przeszłości mówią coś wręcz przeciwnego. Napastnikami byli zawsze silni, a nie słabi. Zresztą, wyprawdając również logiczny wniosek z tego założenia, należałoby oprzeć przyszły ład na gwałcie i podważyć moralne podstawy tej wojny z faszystowskimi gangsterami — co jest absurdem.

Trudno dzisiaj przewidzieć procesy przeobrażeń po tej wojnie. Po zwycięstwie nastąpi okres przejściowy, okupację krajów nieprzyjacielskich, w czasie którego sprzymierzeni zaabsorbowani będą głównie utrzymywaniem ładu i zaspokojeniem pierwszych potrzeb wyzwolonych narodów, uratowaniem Europy od wojny domowej, głodu i chaosu. Dopiero w tym okresie budowane będą zreby przyszłej organizacji Europy. Jasne jest, że idea przewodnią będzie wolność narodów i wolność człowieka, proklamowane w Kartie Atlantycznej. Jasne jest również, że jakiejkolwiek nastąpią zmiany granic, ogólny stan posiadania narodów zwycięskich, które stały się ofiarami agresji, a przede wszystkim Polski, nie może być uszczuplony. Odbudowa silnej niepodległej Polski jest jednym z celów tej wojny.

ROMAN FAJANS

Na gruzach marzeń o Imperium Cezarów

Zdaje się nie ulegać już dziś najmniejszej wątpliwości, że zegar dziejowy faszyzmu woskiego wskazuje, jak to się zwykło mówić, pięć minut przed dwunastą. Wydaje mi się tedy, że warto byłoby może naszkicować parę wspomnień o moich spotkaniach z czołowymi postaciami włoskiego faszyzmu, o tym paromiesięcznym pobycie wśród wojsk włoskich w Abisynii i o różnych wydarzeniach politycznych, związanych z faszyzmem, których byłem przypadkowo naczynym świadkiem. Wspomnienia takie, rzucone na tło dzisiejszej rzeczywistości i zestawione z nią, będą miały swą wymowę i swój specjalny posmak.

W latach 1934 i 1935, które stanowiły bezsprzecznie apogeum potęgi i powodzenia faszyzmu, zetknąłem się kilkakrotnie z Mussolinim, Ciano, Lessoną, de Bono, marsz. Badoglio oraz innymi czołowymi postaciami Włoch faszystowskich. Usłyszałem od nich wiele rzeczy zaskakujących i ciekawych. Niektóre z nich ogłosiłem swego czasu w moich wywiadach i artykułach, innych opublikowałem, z różnych przyczyn, nie było można. Zaczę od Mussoliniego.

Mussoliniego spotkałem po raz pierwszy w sierpniu 1935 r. w Dolomitach, podczas ówczesnych wielkich manewrów włoskich, które były próbą niedalekiej wyprawy abisyńskiej. Duce poświęcił wówczas parę dni na objazd prowincji. Towarzyszyło mu każdego dnia, na zmianę, czterech korespondentów prasy zagranicznej. Któregoś dnia kolej wypadła na mnie. O godz. 8-jej rano przedstawiono nas Mussolinemu w pałacu prefektury w Bolzano. Towarzyszyliśmy mu następnie przez cały dzień podczas inspekcji granicy Brenneru. W którymś z punktów granicznych, na łańcuchu feerycznego krajobrazu górskiego, Mussolini wraz ze swą switą i z nami minął posterunek włoski, podszedł do domku, w którym stancjonowali byli strażnicy austriacy i rozmawiał z każdym niemal z pośród nich. Na pożegnaniu uścisnął rękę dowodzącemu strażą oficerowi austriackiemu i powiedział mu kilka życzliwych słów. Włoskie biuro prasowe zwróciło specjalną uwagę ówczesnych korespondentów prasowych na tę „wymowną“ w jego opinii manifestację. W następstwie — prasa państw demokratycznych rozpytywała się przez dłuższy czas nad tym symbolicznym uściskiem dłoni, widząc w nim wystąpienie polityczne o pierwszorzędnej doniosłości. Byliśmy wówczas za ledwie parę miesięcy po Stresie i układzie rzymskim Mussolini — Laval. Aczkolwiek chmury abisyńskie zbierały się już na dobre, udawano, że nie widzi się ich. Rozkoszowano się nadal atmosferą Stresy. Fakt, że ówczesne wielkie manewry włoskie odbywały się w prowincji Bolzano, napoży niemieckiej i tak bliskiej granicy Brenneru, komentowano jako wyrazne ostrzeżenie ze strony Mussoliniego pod adresem Hitlera.

Śniadanie jedliśmy w obsypanej kwieciami restauracyjce wiejskiej w Fondo. Po prawej stronie Mussoliniego zasiadł książę d'Aosta, po lewej — generał niemiecki, szef liczonej delegacji armii III Rzeszy. Oficerowie brytyjscy i francuscy umieszczeni zostali przy stole w dość znacznej odległości od Duce. Zwarżyło to trochę optymizm dziennikarzy Ententy. Ale jadło i wina były znakomite, pogoda — cudowna, Duce sypał dowcipami, więc i nastrój dopisał na ogół.

W niedługi czas potem Mussolini udzielił mi wywiadu, o który starałem się od dawna. Rozmawialiśmy półtorej godziny. Pamiętam, jakby to wczoraj było, ogromną, pustą salę pałacu Weneckiego, w której głębi, za wielkim biurkiem, siedział Mussolini. Szło się przez tę salę bez końca i nie można było poprostu dojść. Wrażenie wywierała ona nieprzeciętnie. Cała reżyseria godna była wielkiego artysty.

Mussolini był dnia tego w bardzo złym humorze. Jak wynikało z rozmowy, otrzymał był właśnie wiadomości z Londynu i Paryża o wzrastającym oporze Wielkiej Brytanii przeciw jego abisyńskiemu zamysłom i o psuciu się życzliwego dotychczas, jak mu się zdawało, stanowiska Francji. Mówił o tych dawnych sprzymierzeńcach Włoch z gwałtownością i goryczą. Twierdził, że nie ma żadnych zamiarów przeciwańskich, że chce respektować wszystkie prawa i przywileje Wielkiej Brytanii w Abisynii i że nie może zrozumieć stanowiska Downing Street. „To, co zamierzamy przeprowadzić w Afryce“, mówił mi, „chcemy dokonać własnym wysiłkiem i własną krwią. Niech nam więc nie przeszkadzają. Oto jedyne, czego żądamy. Niech nam dadzą spokój“.

Jeszcze bardziej gwałtownie atakował Francję. Z naciskiem powoływał się na tajną klauzulę w swej rzymskiej umowie z Lavalem, pozostawiającą Włochom, jak mi oświadczył, wolną rękę w stosunku do Abisynii i zgłaszała zupełne desinteressement Francji w tej sprawie. O ile wiem skądinąd (a byłem obecny w Rzymie podczas owego spotkania Mussolini — Laval) klauzula tego rodzaju rzeczywiście w umowie tej istniała. Wiedzieli o tym wszyscy obecni podówczas w Rzymie dziennikarze zagraniczni. Laval już wtedy rozpoczynał swą specyficzną rolę. Mussolini pokazywał mi na mapie terytorium Tibesti, które Francja odstąpiła Włochom w tymże samym traktacie rzymskim. „Nieprawdaż“, zapytał, „jak to im-

ponując tu wygląda? A czy wie pan ilu terytorium to ma mieszkańców? Niecałych dziesięć tysięcy wędrujących Nomadów. Włochy muszą mieć dla siebie miejsce pod słońcem. A ja nie jestem kolekcjonerem pustyni“ — dodał.

Mówiąc ze mną o Libii, o której ogłosiłem właśnie książkę, Mussolini egzaltował włoskie zdolności kolonizacyjne i stwierdził m. in. że Włochy „mają prawo i obowiązek przejąć w tym względzie naturalne dziedzictwo Cezarów“.

Mówiliśmy wiele o Austrii. Oto najważniejsze słowa Mussoliniego: „Niech świat nie sądzi“, rzekł mi, „że ponieważ mam obecnie oczy utkwione w Afryce, nie widzę, co dzieje się na granicy Brenneru. Widzę dobrze“. Ale my wiemy też wszyscy, że w dwa lata później przestał widzieć i umożliwić Hitlerowi Anschluss. „Jedyna możliwość ratunku dla Austrii“, mówił mi wówczas, „to ponowne połączenie jej z Węgrami i restauracja Habsburgów. Zdołałem przekonać w tym względzie dwór angielski i rząd. Udało mi się nawet przezwyciężyć opór Paryża w tej kwestii. I cóż? Pewni mężowie stanu, przez swą kontrakcję, udaremniłi wszystko, co przeprowadziłem w tych dwu stolicach. Jeden z nich oświadczył nawet, że woli Anschluss, niż Habsburgów. Jeśli rzeczywiście woli, kto wie, może będzie go miało... Bo mnie trudno jest być stale żandarmem Europy na Brennerze. Raz posłałem tam moje dywizje. Nie wiem, czy będę mógł postać je raz jeszcze“.

Mussolini mówił też dużo o Polsce. Ale o tym osobno.

Bezpośrednio niemal po tej rozmowie spędziłem, jako korespondent wojenny, szereg miesięcy z armią włoską w Abisynii. Jakież wrażenie wywarła na mnie wtedy ta armia? Przyznam otwarcie, że na podstawie wrażeń ówczesnych trudno było oczekiwać po niej kłęk tak bezustannych i sromotnych, jak te, które stać się miały jej udziałem w wojnie obecnej.

Stwierdziłem jednak odrazu, że wyprawa abisyńska nie mogła być i nie była żadnym miernikiem kwalifikacji bojowych armii włoskiej. Nie mając żadnego poważnego przeciwnika, armia ta nie miała poprostu sposobności wykazania swych kwalifikacji. Była natomiast kampania abisyńska niezłym sprawdzianem możliwości organizacyjnych i transportowych oraz zaopatrzeniowych. W tej dziedzinie armia włoska zdała wtedy swój egzamin dobrze.

Ekspedycja abisyńska wymagała od jej organizatorów wielkiego bezsprzecznie wysiłku w tej dziedzinie. Przewiezienie półmilionowej blisko armii z Włoch do do Afryki wschodniej, wyładowanie tych wojsk wraz z całym zaopatrzeniem i uzbrojeniem w jednym właściwie będącym co dyspozycji, bardzo szczupłym i prymitywnym porcie Massaua, transport ich aż do granicy abisyńskiej i dalej, w kraju, posiadającym podówczas jedną, wszystkiego prymitywną i wąskotorową linię kolejową Massaua — Asmara i całkowicie pozbawionym dróg kołowych, nie było rzeczą łatwą. Nie była to wojna z przeciwnikiem wojskowym, lecz raczej ciężka, żmudna walka z terenem, jednym z najtrudniejszych na świecie, i z klimatem. W walce tej włoski transport, korpus medyczny i przede wszystkim korpus inżynierski (budowa dróg), zdały egzamin chlubnie.

Nie zdało go natomiast, zwłaszcza w pierwszej połowie wyprawy, dowództwo włoskie. Na czele ekspedycji postawiono początkowo ówczesnego generała, a późniejszego marszałka De Bono, którego jedyną kwalifikacją było to chyba, że był on jednym z t. zw. Quadrumvirów. Były dowódca milicji faszystowskiej, od wielu lat nie mający nic wspólnego z wojskiem, znalazł się on nagle na czele największej chyba ekspedycji kolonialnej, jaką znały dotychczas dzieje, i nie mógł dać sobie z nią rady. W listopadzie 1935 roku sytuacja była dla Włochów tak groźna, że gdyby nie kompletna nieznajomość rzemiosła wojennego ze strony Abisyńczyków i nagły przyjazd marsz. Badoglio oraz jego drastyczne zarządzenia, wyprawa byłaby bez wątpienia zakończyła się drugą Adą.

My, wszyscy obecni tam podówczas korespondenci wojenni, byliśmy naczynymi świadkami dramatycznych, lub jeśli kto woli, tragicznych scen, jakie rozegrały się w Asmarze w związku z ową interwencją Badogli. Zażądał on kategorycznie od de Bona natychmiastowego cofnięcia dwóch dywizji włoskich, niebezpiecznie wysuniętych naprzód pod Makalle i zagrożonych odcięciem. Między dwoma dowódcami włoskimi doszło wtedy do głośnej awantury, która dokładnie była słyszana przez wielu obecnych w Asmarze dziennikarzy zagranicznych. Gdy de Bono odrzucił żądanie Badogli, ten ostatni wydał pono na własną rękę odnośne rozkazy. Spór zakończył się w ten sposób, że de Bono mianowany został marszałkiem i odwołany z Abisynii, Badoglio zaś zajął jego miejsce. Cały ten incydent przeszedł do historii tragicznych momentów tej egzotycznej wyprawy i był długo komentowany przez kilkadziesiąt obecnych w Asmarze korespondentów największych dzienników i agencji świata.

W związku ze zbliżającą się ostatnio nie-

ubłaganie katastrofą faszyzmu i spekulacjami na temat sposobów ewentualnego wyprowadzenia Włoch z wojny oraz ich dalszej przyszłości, wymienia się nieraz w pewnych kołach nazwisko hrabiego Ciano, jako niby tego „męża stanu“, który mógłby być przeciwstawiony Mussolinemu i z którym Sprzymierzeni mogliby nawiązać ewentualne rozmowy.

Z hrabią Ciano korespondenci wojenni wielu narodowości przebywali w Asmarze w ciągu czterech miesięcy niemal pod jednym dachem i mieli sposobność poznać go dostatecznie. I wszyscy stwierdzili mogą jedno: że mało jest we Włoszech ludzi równie niepopularnych, nienawistnych i szkodliwych. Aroganci megaloman, utracusz, niewypowiedzianie próżni i żądni władzy oraz zaszczytów, przymem człowiek o wielkich ambicjach i bardzo ograniczonej inteligencji, był niecierpiący zarówno przez swe najbliższe otoczenie jak i przez zagranicznych dziennikarzy, których starał się otaczać „osobistą opieką“. Włosi, w przyjacielskich rozmowach z nami, śmiali się z jego megalomanii i zwali go zazwyczaj „małżonkiem Eddy“.

Charakterystyczne dla niego było następujące wydarzenie w Asmarze. Jako ówczesny dowódca eskadry lotniczej „La Disperata“, zaprosił kiedyś dziennikarzy na lotnisko asmarckie, aby zademonstrować nam swój samolot... bezpośrednio po powrocie z wyprawy na bezbronną Abisynię. W aparacie ujrzelśmy kilka dziur, jakoby pochodzących od pocisków z dział przeciwlotniczych. Każdy z tych otworów obmalowany był kolorową farbą i ozdobiony małymi chorągiewkami o włoskich barwach narodowych. Łatwo wyobrazić sobie, jaki śmiech demonstracja ta wywołała wśród dziennikarzy.

Byli we Włoszech dwaj ludzie, z których każdy mógł stanąć na czele ruchu, jeśli nie przeciwfaszystowskiego, to w każdym razie przeciw-mussolinowskiego. Byli to: książę d'Aosta i Italo Balbo. Obaj oni nie żyją.

Z księciem d'Aosta zetknąłem się tylko raz jeden i to przelotnie: w czasie owego śniadania z Mussolinim w Fondo. Wiem jednak, że uchodził on ogólnie we Włoszech za najpoważniejszego, najbardziej wartościowego z członków rodziny królewskiej. Wychowanek angielskiego uniwersytetu, wielki anglofil i germanofob, mógł być tym, który interweniowałby przeciw Mussolinemu ze strony domu Savoia. Mógł odegrać tę rolę, którą fantazja niektórych dziennikarzy i polityków usiłuje dziś przypisać następcy tronu, księciu Humbertowi.

Daleko jednak większe szanse odegrania roli anti-mussolinowskiej miał Balbo, który, inaczej niż ks. d'Aosta, był szczególnie popularny wśród mas.

Z Balbo zetknąłem się kilkakrotnie, przeprowadziłem z nim kilka oświeceniowych, niezwykle interesujących rozmów w Trypolisie. Napisał on przedmowę do mojej książki o Libii. I zarzykuje twierdzenie, że gdyby włoski marszałek lotnictwa żył obecnie, problem włoski byłby najprawdopodobniej w znacznym stopniu rozwiązany. Oczywiście, Balbo nie mógłby stanąć nigdy na czele włoskiego reżimu demokratycznego. Na to był on, pomimo wszystko, zanadto faszystą. Ale był to faszysta całkiem innego gatunku, niż Mussolini, Ciano, Farinacci lub de Bono. Daleko bardziej romantyczny, renesansowy, bezinteresowny, a nieporównanie mniej materialistyczny i oportunistyczny. A przede wszystkim — o całkiem odmiennych poglądach zewnętrzno-politycznych. I mógł odegrać czołową rolę w okresie najcięższym, bo przejściowym: po Mussolinim i przed nową erą Włoch.

To, że Balbo nie znosił Niemców i że był zdeklarowanym filo-anglosasem, było rzeczą we Włoszech ogólnie znaną. Wiedziałem o tym od wielu osób z jego najbliższego otoczenia, a potwierdził mi to w zupełności najbliższy mu człowiek, major Gardhengi, były socjalista i redaktor „Avanti“. Opowiadał mi on m. in. o deprymującym wrażeniu, jakie na marszałku Balbo wywarła wizyta jego w Berlinie oraz zetknięcie się z Hitlerem, Goeringiem, ich poglądem na świat i manierami. Miał on ich jakoby po powrocie scharakteryzować jednym dobitnym określeniem: „barbarzyńcy z germańskiego mitu“. I, krocząc, w swym mniemaniu, po odwiecznej drodze Imperium Rzymskiego, Balbo i dzisiaj także przeciwstawiał temu germańskiemu barbarzyństwu, „słoneczną kulturę Rzymu“, o której tyle i z tak głęboką wiarą mówił ze mną. W rozmowach tych on sam nigdy, ani jednym słowem nie wspominał o Niemcach. Mówił za to wiele o Anglii, a zwłaszcza o Stanach Zjednoczonych. Ze swych wspomnianych lotów transatlantyckich i pełnych wrażeń pobytów w Ameryce wyniósł podziw i wielką sympatię dla wszystkiego, co amerykańskie. Ciekawe jak bardzo temu północno-włoskiemu patrycjuszowi, temu wspaniałemu typowi renesansowego kondotiera włoskiego imponował nowoczesny wysiłek i dorobek młodej, demokratycznej społeczności amerykańskiej. W obecnej sytuacji Balbo stanowiłby we Włoszech element niezwykle cenny i... groźny dla Mussoliniego oraz jego klikki. Zdawał sobie z tego dobrze sprawę Duce. Dlatego, zaraz po przystąpieniu Włoch do wojny, zginął „tajemniczo“, strącony jakoby przez samolot brytyjski.

Urządowy komunikat londyński, wydany na- zajutrz po wypadku, głosił, że... żaden samolot brytyjski dnia tego w rejonie tym nie operował.

Głośno było oddawna we Włoszech o rze- komych kontrowersjach między Mussolinim a Balbo. Kwestia ta interesowała mnie całkiem specjalnie i starałem się dowiedzieć czegoś na ten temat w rozmowach z jednym i z drugim. Balbo, podczas swych widzeń ze mną, nie wspominał o Mussolinim prawie nigdy (może ubocznie, raz jeden). Gdy byłem u Mussoliniego, wręczyłem mu egzemplarz mej książki o Libii i umyślnie podkreślałem trzykrotnie, że przedmowę do książki napisał Balbo. Wspominałem też o moich trypolitańskich rozmowach z nim. Mussolini w ogóle nie zareagował na to. Jakby nie dosłyszał.

Zwykło się dziś twierdzić, że najlepszą miarą wartości moralnej faszyzmu włoskiego w dziedzinie zewnętrzno-politycznej było głośne „uderzenie sztyltem w plecy“ Francji w czerwcu 1940 r.

Daleko bardziej charakterystycznym w tym względzie wydaje mi się stosunek faszyzmu włoskiego do Polski. Od chwili przyścia faszyzmu do władzy aż do początku 1939 roku stosunek Mussoliniego i jego ludzi do Polski zdawał się być wybitnie i ostatecznie przyjaznym. Oczywiście, stosunek ten miał źródło przede wszystkim w szczerej i głębokiej sympatii, jaką Polska cieszyła się zawsze (i cieszy się, pomimo wszystko, dziś także) w szerokich masach ludu włoskiego. Był stosunek ten owocem wiekowych tradycji polsko-włoskiej wspólnoty kulturalnej, kontaktów stworzonych przez katolicyzm, wspólne tradycje kulturalne i t.p. Co się zaś tyczy reżimu, to póki mu to było na rękę i politycznie dogodne, płynął on wraz z tą falą, a nawet ożywił ją czasem.

W spotkaniach moich z włoskimi mężami stanu, dowódcami, dziennikarzami faszystowskimi, mowa była o Polsce nader często i to zawsze w tonie nad wyraz sympatycznym. Mussolini, podczas swej rozmowy ze mną w pałacu Weneckim, wypowiadał się na ten temat obszernie. W parę dni po naszej rozmowie przesłał mi nawet dość długą deklarację o Polsce, zaopatrzoną własnoręcznym podpisem i przeznaczoną dla opinii polskiej. Deklarację tę ogłosiłem w swoim czasie w radio, w „Kurjerze Warszawskim“ i w moich dwu książkach. Zarówno w rozmowie jak w tej deklaracji Duce śpiewał istne peany na cześć polsko-włoskiej przyjaźni, wspólnoty interesów, wspólnoty kulturalnej. Było to w roku śmierci Marszałka Piłsudskiego, i Mussolini poświęcił dłuższą chwilę rozmowy Jego osobie, wyrażając się o Nim w najwyższych superlatywach. Przypomniał mi też, że to on właśnie, Mussolini, był pierwszym, który jeszcze podczas pierwszej wojny światowej podniósł sprawę niepodległości polskiej w parlamencie włoskim.

W takim samym tonie mówili mi o Polsce i Ciano, który w jednej z rozmów w Asmarze podkreślił z naciskiem, że nie mógłby wyobrazić sobie struktury politycznej Europy bez Polskie silnej i wielkiej, i Lessona, i Grandi, i Balbo, i de Bono, i Gayda.

Przyszła tragiczna rok 1939 i oto nagle stosunek faszyzmu włoskiego do Polski zmienił się o 180 stopni, staje się wrogiem i napastliwym. Coraz częściej pojawiają się w prasie włoskiej artykuły, atakujące Polskę i biorące stronę Niemiec w naszym sporze o ziemie zachodnie. Pojawia się wreszcie w „Corriere della Sera“ niegodna, ordynarna w tonie, prowokacyjna napaść na armię polską i na Legiony Piłsudskiego. Aczkolwiek, ze względu na głębokie różnice zdań w wielu sprawach między mną a moimi włoskimi przyjaciółmi, nie ogłaszałem nic na tematy włoskie już od r. 1936, przerwałem wówczas milczenie i odpowiedziałem, publikując w „Kurjerze Warszawskim“ artykuł p.t. „Kto z nich mówi prawdę?“. W artykule tym zestawiałem z jednej strony wszystkie pozytywne wypowiedzi na temat Polski, jakie słyszałem swego czasu od Mussoliniego, Balba, Ciana i in., i z drugiej — ówczesne ataki prasy włoskiej. Było to w sierpniu 1939 r. W dwa miesiące później, już po dramacie wrześniowym, Mussolini znowu zabrał głos w sprawach polskich. „La Polonia e liquidata“ rzekł wówczas...

Tego Mussolinemu i jego klice Polska nie zapomni nigdy. O tym pamiętać będzie dobrze w obecnych, tragicznych dla faszyzmu włoskiego chwilach. Albowiem faszyzm popełnił w danym wypadku wyjątkową nikczemność. Popełnił ją wobec narodu, niezmiennie Włochom bliskiego, darzącego je wielką, odwieczną przyjaźnią, narodu, wobec którego on sam wielokrotnie i na przestrzeni wielu lat deklarował jak najprzejrzystej uczucia. A przytem nawet względy oportunistyczne nie mogą wchodzić tu w rachubę. Albowiem faszyzm bynajmniej nie musiał zajmować tego rodzaju stanowiska wobec pobitej, skrwawionej Polski. Znamy innych sprzymierzeńców Niemiec, chociażby Węgrów, którzy w ciężkiej dla nas chwili potrafili zachować się w stosunku do Polski nie tylko z godnością, ale nawet z przyjaźnią. Swym postępowaniem wobec Polski w najtrudniejszym dla niej momencie faszyzm włoski wydał sam sobie bezapelacyjne świadectwo moralnej nędzy.

MARIAN GORECKI

ITALSKA JUTRZENKA

Bitwa sycylijska

Objęcie steru rządu przez marszałka Badoglio diablo przypomina moment, w którym na czoło sceny politycznej Francji wkroczył marszałek Petain. Położenie militarne Italii jest obecnie analogiczne, lecz gorsze niż było wówczas Francji. Taki już dzisiaj los starych marszałków, że przyjmują na siebie obowiązki nie prowadzenia wojny, lecz jej likwidowania.

Istnieją wszelkie obiektywne dane, że za nim ten artykuł zostanie wydrukowany armia włoska złoży broń i tylko na północy półwyspu jakieś legiony, sformowane przez czarnoskórych faszystów, będą się desperacko bronić przeciw nieubłaganiu nadchodzącej kolei losów.

Przebieg kampanii sycylijskiej dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że alianci są dziś w stanie prowadzić działania desantowe równie swobodnie, jak jednostronne ćwiczenia pokazowe, tak wielką jest ich przewaga lotnicza i morską. Jakże to bowiem się odbyło?

Okreśły transportowe o tonażu łącznym wielu milionów ton podjechały ławą do brzegów Sycylii, wioząc setki tysięcy żołnierzy, tysiące czołgów i dział. Rozstawiły się one co paręset metrów jeden od drugiego i rozpoczęły wyładunek. Obsada nadbrzeżna sycylijskiego fortu „europejskiej fortecy” została taktycznie niemal zaskoczona, a jeśli gdzieś odezwała się bateria włoska, to natychmiast odpowiadała jej kilkadziesiąt dział floty wojennej aliantów, która, stojąc w drugim rzucie za transportowcami, czujnie strzegła bezpieczeństwa wyładunku. Oprócz tego liczne monitora morsko-rzeczne, niektóre uzbrojone w działą szesnastocalowe, podeszły na najbliższe odległości i poważnym głosem profesora monitorowały obronców, wykładając im swymi pociskami o beczelowości dalszego oporu. Specjalnie skonstruowane transportowce wjeżdżały niemal na brzeg i dosłownie rozwierając swe dzioby, wypuszczały ze swego wnętrza po kilkadziesiąt czołgów, gotowych do boju. Legenda o koniu trojańskim realizowała się tym bardziej dzięki spadochromom i szybowcom, które jednocześnie przerzuciły w głąb lądu sycylijskiego tysiące wyborowego żołnierza, wyposażonego w uzbrojenie wystarczające do walki z oddziałami pancernymi. Jak kpiny z powagi sytuacji, rozbrzmiała wiadomość, że Włosi chcieli udaremnić tę akcję przez szarżę kawaleryjskie.

W sumie sycylijska operacja ziemnowodna, poprzedzona uzyskaniem pełnej przewagi w powietrzu, wykazała jaskrawo bezbronność „fortecy” przeciw dobrze przygotowanym desantom.

Zagadnienia strategiczne

Bitwa sycylijska ujawniła obraz rzeczywistego stosunku sił, który pod względem czysto militarnym wydaje się obecnie tak korzystny dla duumviratu Churchill-Roosevelt, że dalsze kruszenie Niemiec mogłoby potoczyć się tempem lawiny, druzgocącej wszystko, co znajdzie na drodze.

Nie trzeba jednak zapominać, że Sycylia jest tylko fragmentem Środoziemnomorskiego teatru wojny i to fragmentem wcale nie wielkiej strategicznej doniosłości. Z autorytatywnych sfer wojskowych padały głosy, że nawet po opanowaniu Sycylii wcale nie trzeba się spieszyć z zajmowaniem Włoch. — Cóż jednak zrobić, jeśli spadną one same do rąk jak dojrzałe jabłko z drzewa? — Fachowcy wojskowi byli zdania, że należałoby skierować lawinę wojennej potęgi przede wszystkim na wschodnie wybrzeże Bałkanów, poprzez Kretę i Dodekanez. Poza tym eksperci nie zatrzymują swego spojrzenia na południu Europy, lecz szukają progów do zwycięstwa także na innych krawędziach Europy. Podkreślają z naciskiem, że w obecnych zmaganiach bierze udział tylko ułamek obustronnych sił i przypisują przyczynę takiego stanu rzeczy wyłącznie tej kategorii motywów strategicznych, która bardziej się styka z polityką, niż z czysto wojskowymi rozważaniami.

Prostu ci, którzy już są w stanie odnieść pełne zwycięstwo, nie są jeszcze gotowi do pokoju.

Przed czterema laty nikt w Europie, ani w innych częściach świata, poza Niemcami, nie był gotów do wojny i dzięki temu przez półtrzecia roku znosić trzeba było upokorzenia klęsk i porażek. Dzisiaj znowu przez niedocenywanie własnej potęgi, przez takie enuncjacje jak Knoxa, że dopiero w 1949 r. będzie osiągnięte pełne zrealizowanie planów zbrojeń, przez niezręczność czy też głupotę różnych czynników półoficjalnej propagandy, przepowiadającej długotrwałą wojnę, może dojść do tego, że jak w 1939 Niemcy zaskoczyły świat wojną, tak w 1943 grozić może zaskoczenie pokojem. W obecnym położeniu to właśnie największe niebezpieczeństwo i najbardziej złośliwy figiel, jaki Niemcy światu mogą zrobić, polega na tym, że niespodziewanie wypręgą swój rydwan wojenny. Poświęcą Hitlera, lub on sam się poświęci, co nie byłoby dziwnym ze strony tego paranoika. Z pewnością najzdolniejsze mózgi niemieckie obmyślają teraz szczegóły realizacji tego planu.

Manewr z Elby

W miarę jak przedłużają się obecne wojny, coraz bardziej stają się one odmienne pod względem swych perspektyw od tych, do których ostatnio przywykliliśmy, i analogię znaleźć można dopiero w cyklu wojen napoleońskich. Niektórzy ze słuszością szukają nawet podobieństwa dopiero w perypetiach wojen peloponezyjskich, tak plastycznie opisanych przez Tucydidesa. My Polacy patrzymy na Napoleona przez okulary romantyzmu, ale dla Europy był on zbrodniarzem równym obecnemu teokratycznym dyktatorom. Matki straszły nim dzieci. Wielki Cień przyniósł Europie przez lat kilkanaście, w ciągu których wiele wojen stoczono i zerwano wiele sojuszków, zawierając nowe, coraz w inną stronę skierowane. Pełno było wszędzie Hachów, Quislingów, lub Petainów. Wreszcie potężna koalicja zajęła Paryż. Napoleon abdykował, wysłany został na wyspę Elbę. Mało jest danych, ażeby planowo przygotowywał swoje „sto dni”, raczej wszystko przemawia za tym, że była to improvisacja, a jednak posiadała ona wiele widoków powodzenia. Manewr z Elby decydująco wpłynął na przebieg kongresu Wiedeńskiego. Istota tego manewru polegała na tym, że wyzyskany został moment, kiedy zwycięskie armie koalicyjne rozpoczęły rozchodzenie się do domów. Najsilniejsze z nich, rosyjska i austriacka, minęły już Ren. Ten właśnie moment wybrał Napoleon do rozpoczęcia natychmiastowej wojny odwetowej.

W czasie wojny 1914-1918 Niemcy do ostatka, jak Napoleon w 1814 r., kierowali swe rozpacze wysiłki na zachowanie równowagi wojskowej. „Załamanie się wielkiej armii” w 1918 było w istocie i naprawdę wypuszczeniem wodzy z ręki przez wielki sztab generalny

niemiecki. A jednak nawet w tych warunkach znaleźli się już w 1919 r. niemieccy generałowie, którzy realnie i konkretnie opracowywali plany nowego manewru z Elby. Obserwując dość szybkie tempo demobilizacji aliantów, chcieli oni na czele doborowych, ochotniczych oddziałów wkroczyć ponownie do Francji, nie dopuścić do podpisania traktatu Wersalskiego i podyktować własny. Duszą tych planów był generał von der Goltz, a jego akcja, prowadzona w t. zw. Balticum, była dobrze znana obecnemu gubernatorowi Sycylii generałowi Alexanderowi, który w 1919 jako członek misji alianckiej w Rydze sprzyjał Łotyszom w ich podwójnej walce wyzwoleniczej przeciw Niemcom i bolszewikom. Akcja von der Goltza spełzała na niczym dlatego, że była improvisowana, a Goltz nie był Napoleonem. W ciągu jednak lat 1919-1939 jego plany były w Niemczech przedmiotem wszechstronnych studiów. Istnieje aż za wiele symptomów, że Niemcy, wszczynając w 1939 r. wojnę, zawczasu wyciągali wszystkie nauki z doświadczeń 1918 roku. Przecież planując „zabezpieczenie losu narodu niemieckiego na tysiąc lat”, nie mogli oni ograniczyć się do postawienia swej sprawy na szale tylko wojen 1939-1943, ale liczyć się musieli z możliwością fazy podobnej do 1918 r., i pomysły von der Goltza dzisiaj z pewnością nie będą przedmiotem improvisacji, lecz szczegółowego rozplanowania.

Cóż stąd wynika?

Melodia finału

Niemcy będą dążyć wszystkimi środkami do skonczenia obecnej fazy wojny jak najprędzej, i nie zawahają się nadać temu wszelkich pozorów militarnej katastrofy. Nie będą z pewnością jak Ludendorff w 1918 r. wygry-

PRASA BRYTYJSKA

Czynnikiem, z którego istnieniem należy bardzo poważnie się liczyć przy wszelkich naszych planach na okres powojenny, jest brytyjska, a ściślej — anglosaska, opinia publiczna. Zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Stanach Zjednoczonych, sfery rządowe przywiązuje ogromną wagę do „vox populi” jako do tego, który jest właściwym i prawdziwym odzwierciedleniem dążeń i pragnień szerokich warstw narodu. Warto przypomnieć, że popularne w Anglii „Letters to the Editor” są często poważnym argumentem zarówno dla członków parlamentu (interpelacje), jak i dla rządu w polityce międzynarodowej (sprawa Sudetów po raz pierwszy podniesiona została na łamach prasy właśnie tą drogą). Dzisiaj prasa całego świata urabia ową publiczną opinię na różne — nie zawsze dla nas pożądane — sposoby. Poto jednak, by wiedzieć dokładnie czego możemy spodziewać się od naszych Sprzymierzeńców w momencie najbardziej dla nas istotnym, ku jakiemu celowi dąży brytyjska opinia publiczna, jak jest urabiana w sprawach polskich i w sprawach innych, należy trzymać rękę na pulsie tej prasy, śledzić rozwój poszczególnych „kampanii” i co najważniejsze — nie bać się spojrzeć prawdzie w oczy, choćby ona była gorzka i przykra. Tylko w ten sposób potrafimy w razie potrzeby stanąć, czy zasiąść, do ostatecznej — pokojowej — rozgrywki, uzbrojeni w odpowiednią broń. Tylko w ten sposób, śledząc rozwój brytyjskiej i amerykańskiej opinii publicznej, nie będziemy bezbronni na sztychy, przyjaciół lub wrogów.

Sprawa polska przechodziła w Wielkiej Brytanii różne fazy. Przed przystąpieniem do wojny Sowieci byliśmy przeważnie cytowani przychylnie, niejednokrotnie entuzjastycznie; nasz przyjazd do Wielkiej Brytanii po ewakuacji francuskiej stał się manifestacją propolską prasy i ludności Wysp. Objęcie odcinka wybrzeża przez Korpus Polski w drugiej połowie 1940 r. stworzyło wokół nas legendę walczących na wszystkich frontach. Wiadomości nadchodzące z Kraju, obficie przedrukowywane przez prasę brytyjską, dawały nam wielki kredyt sympatii i współczucia przeciwnego czytelnika tej prasy. Nie było i nie mogło być wtedy dyskusji na temat Polski. Wszyscy doskonale wiedzieli i pamiętali, że Polska stanęła do walki w obronie swej wolności, że nie poddała się niemieckim pokusom wspólnego frontu anty-rosyjskiego, że nie znała wyrazu „kompromis”. U ludności tutejszej, rozmiłowanej w wolności, nie rozumiejącej mentalności niewolniczej obywatela niemieckiego, bojącej się instynktownie swobód sowieckich, staliśmy się symbolem oporu, symbolem walki. Prasa odzwierciedlała tę opinię. Może jedynym piśmem nam nieprzychylnym otwarcie był „Daily Worker”, dziennik komunistyczny. Nie był to jednak wówczas przeciwnik poważny, zważywszy, że jednocześnie — w myśl wskazówek z Moskwy — prowadził on akcję na rzecz obniżenia produkcji wojennej, nawołując do rozpoczęcia rozmów pokojowych i tanią demagogię — znaną nam jakże dobrze z czasów przedwojennych — oddziaływując w kierunku zmniejszenia wydajności pracy robotnika brytyjskiego. Ogólnie biorąc, prasa zajmowała stanowisko życzliwe. Pomoc Polakom, organizowana w formie różnego rodzaju

organizacji (Polish Relief Fund, Scotto-Polish and Anglo-Polish Societies i t. d.) popierana była przez prasę wszelkich odcinów i wszelkich przekonań. To był okres, kiedy akcje nasze stały najlepiej i kiedy sytuacja nasza, jako największego i najwierniejszego alianta, była jasna i nie podlegająca żadnej dyskusji.

Wypadki wojenne, wejście na arenę nowych aliantów, przeciąganie się wojny, to wszystko stworzyło nowy obraz całości, na którym fragment polski raz zacierzał się, drugi raz odznaczał wyraźnie, dodatnio lub ujemnie. Sam fakt naszej obecności na wielu frontach, fakt udziału naszych lotników i marynarzy w walkach, nie wystarczał. W grę wszedł moment polityczny. W grę wszedł czynnik interesu brytyjskiego, który chwilami stawał na drodze ku naszemu celowi. Rosja Sowiecka jako sprzymierzeniec nie przysporzyła nam samych jasnych momentów. Koncepcja wpływów wielkich mocarstw — Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny, usunęła w cień rolę Polski. Przeciągające się walki na froncie wschodnim i niewątpliwa bitność i dzielność rosyjskiego żołnierza przesunęły legendę na wschód od nas. Propaganda wroga nam wreszcie zaczęła znajdować grunt na terenie Wysp Brytyjskich. Różnice pomiędzy nami a Rosją Sowiecką, rola tej ostatniej w stosunku do nas i do państw bałtyckich, stanowisko pewnego odcinka polityków czeskich, idące na pełną współpracę z Sowieciami — to wszystko pozycję naszą zmieniło i pogorszyło. Przeciwny Anglik czy Szkot przestał już dzisiaj widzieć Polaków na wschodzie Polski. Widzi tylko Ukraińców i Białorusinów dążących do połączenia z Rosją, czemu sprzeciwia się niepostrzeżenie Polska. Prasa znowu odzwierciedlała tę zmianę opinii i wpływa na nią świadomie.

W okresie spadku naszych akcji na rynku prasowym, tym przyjemniej zanotować głosy życzliwe. „Time and Tide” z 17 kwietnia, pisząc o ruchach podziemnych w Europie, stawia jako przykład Polskę. „Polacy potrafili w specjalnie trudnych warunkach, pod wielkim naciskiem terroru, zachować zupełną jedność narodową. Pozostali oni jedynymi, którzy nie wydali Quislinga. W r. 1939 Niemcy zaproponowali im współpracę przeciwko Rosji — odmówili. W czasie tej wojny mieli znowu wielokrotnie możliwości takiej współpracy. Pomimo jednak terytorialnych żądań rosyjskich, żądań, które oznaczałyby utratę więcej niż połowy Polski na rzecz Rosji — odmówili ponownie. Odmowa ta kosztowała ich wiele egzekucji, deportacji i cierpień...”

Nasza sprawa jest znowu sprawą zasadniczą, sprawą, której rozstrzygnięcie będzie dowodem w jakim stopniu Karta Atlantycka jest istotnie celem naszych Sprzymierzeńców. Jesteśmy w tej chwili na niebezpiecznym zakręcie. Jeżeli wyjdziemy na prostą drogę szybko i bez uszkodzeń — zyskamy wiele dla siebie i dla naszych Sprzymierzeńców. Autorytet bowiem anglosaski na kontynencie europejskim zależy dzisiaj w ogromnym stopniu od stanowiska wobec Polski. Koncepcja wpływów wielkich mocarstw nie może się utrzymać w ramach alianckich celów wojny. Śledzenie przejawów opinii brytyjskiej poprzez jej organa prasowe da nam zapewne w niedługim czasie odpowiedź na dręczące nas obawy. Zygmunta Nagórski, Jr.

wać ostatnich swych kart i zechcą swój rydwan wojenny pozornie wyprząc wcześniej niż 9 listopada, a przez to uniknąć błędu Ludendorfa, który doprowadził do beznadziejnego rozbrojenia swej armii. Wysiłek niemiecki zmierzając będzie w tym kierunku, aby zachować swobodę wyboru między okupacją przez Amgot a wkroczeniem związku patriotów niemieckich w asyście armii sowieckiej. Alianckie Militarne Gubernatorstwo Okupowanych Terytoriów mimo wszystko posiada więcej pojęć dla zorganizowanych i świadomych swych historycznych planów Niemców, niż hrabiowski komitet „wolnych Niemców” w Moskwie. Swobodne pole do manewrów politycznych, a w ślad za tym wojskowych i wreszcie do manewru z Elby będzie według przypuszczeń niemieckich przy Amgocie tym bardziej zachowane, że w ślad za Amgotem spodziewać się można powrotu i odzyskania możliwości działania przez różnych „antyhitlerowskich” działaczy w stylu księcia ciężkiego przemysłu Thyssena i t. p. Z drugiej jednak strony właśnie istnienie grupy niemieckiej, zorientowanej filozoficznie, może być umiejętnie rozgrywane celem wymuszenia na Amgocie znacznej wyrozumiałości w sprawowaniu władzy, wobec groźby że fala nastrojów niemieckiej ludności pod okupacją Amgotu spontanicznie zwróci się może przeciw niemu, mogąc szukać i znaleźć oparcie na wschodzie. Tych kilka rzutów w przyszłość rysuje ją w barwach brązowych, barwach najbardziej obmierzonego produktu organizmu ludzkiego.

Uczciwy rzeczoznawca obowiązany jest przeto sformułować wyraźne słowa ostrzeżenia pod adresem ludzi naiwnych, którzy we wzmożonym warkocie motorów i huku pocisków, dochodzących do nas w ostatnich dniach z trzech jednocześnie okolic globu, chcą usłyszeć upragnioną muzykę finału wojny.

Ożywienie instrumentów wojny w zespole Eisenhowera wiązało się w czasie z kakofonią kurską i z fanfarami zwycięstw Mac-Artura. Wydawać się może znudzonym słuchaczom, że dotąd chaotycznie wykonywana partytura, wreszcie ujęta została w karby woli jakiegoś dyrygenta. Błądzą jednak ci, którzy oczekują uniwersalnego oratorium.

Nigdy bardziej jak teraz, kiedy stoimy w przededniu militarne go pogromu Niemiec, nie zakłócały harmonii orkiestry wojennej rozdźwięki łomotu propagandowych maszyn rotacyjnych.

Wstający dzień

Mgła niepewności osłania jeszcze losy Europy, ale nad Włochami wstaje już dzień. Baczna obserwacja tamtejszych zdarzeń pozwolić może na znaczne rozczyfrowanie naszej przyszłości. Historyczny śmiech Mussoliniego zamknął bezpowrotnie okres rewolucji faszystowskiej, która zanim dla dekoracji stworzyła Dopolavore, znieprawiała się obfitą zmałą oleju rycynowego.

Mussolini zapoczątkował serię zejścia ze sceny dyktatorów. Cóż dalej?

Do egzaminu stają nowi gauleiterzy, jak sami siebie nazywają funkcjonariusze Amgotu. Mają oni pokazać umęczonej ludności Europy, co może dać zasobna w środki organizacja aparatu administracyjnego, rozporządzająca techniką odbudowy i zaopatrzenia. Czy jednak to wszystko? Czy i jak zachowana zostanie zasada: nic o nas bez nas. Jakie elementy narodu włoskiego znajdują możliwość przy Amgocie wysunąć się na czoło, by reprezentować wolę swych współobywateli. Przecie marszałek Badoglio może spełnić tylko pierwszy akt współpracy i rolą jego kończy się z chwilą złożenia broni. Czy naród włoski zdoła osiągnąć rozkwit życia, jaki był znamienity dla niego w okresie wczesnego renesansu, czy też znowu wpłątany zostanie w sieć mafii, intryg policji politycznej i obcych agentów.

Wszystko to zależy w największej mierze od układu stosunków między narodem włoskim a władzami Amgotu, gdyż przez to właśnie nadanie zostanie koloryt narodowemu odrodzeniu włoskim. Czy będzie to nacjonalizm nacechowany ekskluzywnością, szowinizmem, antysemityzmem i imperializmem, które wynikną z ksenofobii, wzbudzonej przez błędy taktyki Amgotu, czy też będzie takim ruchem narodowym, jaki głosił Mazzini — tolerancyjnym, pojednawczym, humanistycznym, kosmopolitycznym i postępowym? To są pytania, które dziś najbardziej niepokoją. Temperatura wojennej propagandy rozjaśniła namienność nacjonalistyczne nawet tam, gdzie ich przedtem wcale nie było. Wszędzie szukają wpływu na ludzi metodą tak bolesną i tragicznie opisaną w „Bartku zwycięzcy”. Według nadchodzących pogłosek, nawet Wanda Wasilewska zmieniła mundur pułkownika na krakowski gorsecik, chodzi w koralach, nieomal z pawim piórem.

Zadaniem Amgotu jest w pierwszym rzędzie stworzyć atmosferę uspokojenia oszukanych, hurra-patriotycznych tromtadacji i danie warunków Bartkom zwycięzcom do przemiany w pożytecznych obywateli.

Wydać się, że najlepsza droga do tego prowadzi przez usunięcie ze sceny obieżyświatów-polityków, a oparcie się do maximum na lokalnych i regionalnych samorządach.

Europa czeka, co przyniesie italska jutrzienka.

WŁODZIMIERZ BRATKOWSKI

O POWOJENNY SYSTEM MONETARNY

Światowy problem monetarny po wojnie polegać będzie na trudności finansowania sald bilansów handlowych, nadwyżki importu w jednych krajach, zniszczonych wojną i kosztami wojny, nadwyżki eksportu w innych krajach, których przemysł i rolnictwo odcieci były przez cały okres wojny od rynków zbytu. Trzeba będzie jakoś sfinansować. Nie można oczywiście spodziewać się cudów finansowych i nadal pozostanie prawdziwą starą tezę, że kraj, który stale więcej importuje niż wywozi, albo musi się zadłużać, albo też musi nadwyżkę pokrywać procentami od swych kapitałów zagranicą lub samymi kapitałami. Prawdziwy problem monetarny, w odróżnieniu od kapitałowego, polega na tym: jak sfinansować nadwyżki przywozu, które są tylko czasowe, tak że np. po dwóch latach bilansu handlowego biernego następują lata czynnego bilansu. Problem ten istnieje zarówno wtedy, gdy kraj taki ma złotą i walutę, popartą rezerwami złota, jak i wtedy, gdy złota jest brak a waluta jest papierowa i za granicami kraju nie ma na nią popytu. Przy walucie złotej bilans handlowy umniejsza rezerwy banku emisyjnego i zmusza go do zmniejszenia obrotu, co zgodnie z teorią miaoby poprzez spadek cen doprowadzić do uaktywnienia bilansu handlowego. Niestety jednak, to uaktywnienie bilansu dochodzi do skutku dopiero poprzez deflację i zjawiska kryzysowe w życiu gospodarczym, tak że ta droga wyrównania jest dość kosztowna z punktu widzenia stanu gospodarczego kraju. Jeszcze trudniejsze technicznie jest to wyrównanie przy walucie papierowej, bo tu możliwe jest tylko czasowe pokrywanie tych sald kredytami krótkoterminowymi, których kraje eksportujące niekiedy nie są w stanie udzielać, a często nie chcą przedkładać. Oczywiście, i przy walucie papierowej można zawsze tak ściśnić obieg pieniężny, aby przy obniżonych cenach doprowadzić do wyrównania bilansu handlowego — i ta metoda prowadzi do wyrównania bilansu przez kryzys koniunkturalny i bezrobocie. Należy ją więc odrzucić jako szkodliwe lekarstwo, które zabija pacjenta wraz z chorobą. Przy walucie papierowej, której kurs jest manipulowany, można użyć kursu waluty jako narzędzia — obniżenie kursu podraża towary zagranicę dla nabywców w kraju, a potania towar krajowy na rynkach zagranicznych i tą drogą sprowadza wyrównanie bilansu.

Dewaluacja ma jednak swoje ujemne strony, stwarza bowiem niepewności w stosunkach handlowych i kredytowych z zagranicą i trudno ją stosować stale jako narzędzie, zwłaszcza że podniesienie kursów z powrotem jest procesem trudnym. Dewaluacja może być dobrym środkiem tylko wówczas, gdy bierny bilans handlowy trwa dłuższy czas i wynika ze strukturalnego nieprzystosowania cen wewnętrznych do cen światowych.

Problem wyrównania czasowych sald ujemnych nie był nigdy rozwiązywany według zasad tu wliczonych i nawet przy walutach opartych o złoto był zawsze właściwym polem działania międzynarodowych obrotów bankowych, operujących zgodnie z zasadami szkoły bankowej. Zasady te polegały na tworzeniu dla finansowania tych obrotów nowej siły nabywczej, był nią dawniej czek na Londyn, przyjmowany w miejsce zapłaty. Obecnie przy zdezorganizowaniu obrotów pieniężnych i przy dużym zadłużeniu krótkoterminowym rynku londyńskiego nawet wobec krajów Imperium Brytyjskiego, Wielka Brytania nie ma już sama możności tworzenia pieniądza, przyjmowanego w obrotach międzynarodowych, a problem, który zaistnieje po wojnie, będzie szczególnie zaostrzony, bo salda będą większe niż normalnie.

Brytyjski projekt finansowania handlu światowego, którego autorem jest lord Keynes, przewiduje utworzenie międzynarodowego banku rozrachunkowego, któryby przyznał zgóry kredyty książkowe państwom uczestniczącym. Każde saldo dodatnie byłoby dopisane do tego kredytu, zaś każde saldo ujemne byłoby od niego odpisywane. Transakcje pomiędzy państwami, przechodzące przez księgi banku, opiewałyby na nową, między państwami, jednostkę pieniężną „bancor”, mającą ustaloną relację do złota, relacja ta mogłaby jednak być zmieniana w razie potrzeby. Samo utworzenie banku i przyznanie sald początkowych nie byłoby połączone z żadnymi kosztami, a zmniejszeniu salda jednego z państw-klientów musi z konieczności towarzyszyć powiększenie salda drugiego. Cały obrót mógłby odbywać się bezgotówkowo, jak długo kraje powiększające swoje salda nie wycofują swoich należności i nie domagają się „gotówki”. Pozostawienie całości salda w banku jest najwłaściwszą obligacją klientów. Oczywiście dla kraju, mającego saldo w banku, ma ono tę samą wartość co złoto, bo może być rezerwą emisyjną i może być zużyte na zakupy w okresie późniejszym.

Warto się zastanowić, na czym polega w danym przypadku „stworzenie” pieniądza i jak pieniądz ten wpływa na obroty gospodarcze. Samo utworzenie banku i przyznanie kredytów początkowych działa tak jak otrzymanie — bezpłatnie — rezerwy złota, w dalszych zaś stadiach, gdy pieniądz ten przepływa z rachunku na rachunek, ułatwia on obroty w ten sposób, że państwo mające bierny bilans handlowy nie musi uciekać się do ściśnienia obrotu i wywołania kryzysu wewnętrznego,

nego, podczas gdy równocześnie kraj, mający nadwyżki, może obieg rozszerzyć. Ogólnie można powiedzieć, że utworzenie takiego mechanizmu płatniczego, przy kredytach początkowych, regulowanych w zależności od obrotów handlowych międzynarodowych, prowadzi do powiększenia tych obrotów i to jest właśnie celem tej instytucji.

W razie niewyrównania bilansu handlowego pewnego kraju w dłuższych okresach i wyczerpywania się kredytów, przyznanych mu przez bank rozrachunkowy (przekroczenie połowy kredytu), zarząd banku może zalecić podjęcie zarządzeń takich jak dewaluacja lub obniżenie cen i płac w danym kraju i ograniczenia dewizowe.

Oczywiście „winę” niewyrównanych bilansów ponoszą nie tylko kraje, mające nadwyżki importu, ale i kraje eksportujące za dużo lub importujące za mało. To podzielenie odpowiedzialności tych krajów wyraża się w obciążeniu nie tylko sald ujemnych, ale i dodatnich, odsetkami 1%, a także i w tym, że zarząd banku wydaje także i krajom, mającym ciągłe nadwyżki, zlecenia w kierunku podwyższenia kursu waluty, obniżenia cen i t.p. Nie można tu oczywiście zastosować środków tak drastycznych, jakim może być wobec kraju deficytowego odmowa dalszych kredytów.

Plan nie zajmuje się problemami długiej fali, jak np. inwestycjami międzynarodowymi, które nie należą bezpośrednio do zagadnień monetarnych. W krajach o niedostatecznie rozbudowanej wytwórczości własnej kwestia ta łączy się z zagadnieniami monetarnymi, bo rozbudowa, o ile nie pójdzie po linii eksperymentów rosyjskich w uprzemysłowieniu, musi pociągnąć za sobą nadwyżki importu, i to nie czasowe. Tych problemów projekt nie załatwia i pozostawia je do ułożenia pomiędzy dłużnikiem a wierzycielem.

PASZKWIŁ I IGNORANCJA

Gotthold Rhode, Der polnische Nationalismus und Katholizismus. Jahrbuch des Osteuropa-Institut, Wrocław 1940, str. 73—110.

Szczególnym przedmiotem nienawiści i potwary niemieckiej są Polska i Polacy, i to już co najmniej od dwóch wieków, właśnie jako akompaniament zaborczości pruskiej na Polskę. Z cynizmem i obłudą już Fryderyk zwany Wielkim przygotował rozbiór Polski w opinii świata. Na ulce nie poszła na marne i widzimy, jak wskrzeszone państwo polskie wszędzie się spotykało z wroga propagandą niemiecką, wojującą czysto po niemiecku, cynizmem i obłudą. Powstały w Niemczech specjalne instytucje, mające na celu spotwarzanie Polski, coś jak osławione instytucje żydostwa, tylko pod nazwami mniej wyraźnymi. Od prawdy, że swojej strony zawiniłymi biernością, pozwalając, że Niemcy o nas informowali świat europejski i amerykański, zawiniłymi obojętnością, wadliwą organizacją propagandy, a nie najmniej inferiority complexem wobec niemieczyzny.

Pośród innych zagadnień Niemcy już od dawna zwracali baczną uwagę na sprawy religijne. Sami znani z tego, że religii używali do celów nacjonalistycznych, sami prowadząc wojny z Kościołem katolickim, czy to średniowieczu, czy to oderwawszy się odeń za czasów Lutera, czy za czasów Bismarcka; teraz za Hitlera ujawnili swoje szczerze oblicze, prześladowając Kościół i religie zresztą nie tylko katolicki. Prześladowanie to dochodzi do natężenia największego w Polsce, i chyba tylko w Japonii w XVII w. można znaleźć podobne barbarzyństwo i gwałty, zmierzające już zupełnie wyraźnie do wypięcia tak polskości, jak i religii. Równocześnie z właściwą sobie obłudą okłamują oni świat co do prawdziwego stanu religii w Polsce, tym razem bez skutku, jakkolwiek istotne położenie religii jest w kraju tak rozpaczliwe, że żaden opis nie zdoła dać o tym trafnego wyobrażenia. Ale także z właściwą sobie hipokryzją, jak wszędzie indziej, tak i tutaj rzucają się na Polskę z całym arsenałem kłamstwa.

Jednym z takich dzieł jest rozprawa niejakiego Gottholda Rhodego, p. t. „Nacjonalizm polski a Katolicyzm”, wydana przez „Osteuropa-Institut” we Wrocławiu. Temat jest zupełnie ograny: teza przez ostatnie ćwierć wieku pilnie szerzona przez Niemców, że Polski katolicyzm nie jest wcale powszechny, tylko nacjonalistyczny, polski, kataryczny prawdziwej religii. Jako curiosum trzeba zapisać, że rozprawa ta ukazała się w r. 1940, właśnie w czasie, kiedy Stolica Apostolska ponownie potępiła hitlerizm, jednocześnie w jednej z dotychczas encyklik Piusa XII gorące słowa chwaliły udzielając Polsce. Pod egidą więc i w imieniu zaprzysiężonego wroga religii i Kościoła, pogańskiego nazizmu, zacenienia się polskich katolików jako zbyt nacjonalistycznych.

Jest i druga osobliwość. Broszurę swą Rhode pisał w dobre serdecznej przyjaźni niemiecko-sowieckiej. Stał zachwyty nad Rosją i jej polityką wobec Kościoła katolickiego, jak wiadomo tylko krotko potępiana przez papieża, i to Rosja dawna carska, której sami bolszewicy wystawiają świadectwo jako rękomi barbarzyńskiemu i prześladowczemu. Jakże musieli być się tym ubawić.

Byłoby całkownie zbytecznym zajmować się szczegółowym rozbiorem wywodów Rhodego. Zia wrota i zia wiara uwidatnia się w każdym zdaniu. Zwracamy uwagę na jedno, na pospolitą ignorancję tego przedstawiciela nauki niemieckiej:

„W dawnej Polsce — pisze — arcybiskup krakowski był zawsze równocześnie i kanclerzem Polski”. Nie wie on, że Kraków został arcybiskupstwem dopiero na zasadzie Konkordatu polskiego z r. 1926, a do tego czasu był tylko biskupstwem. Nie wie dalej, że kanclerstwo w Polsce otrzymywali najrozmaitsi mężowie tak duchowni, jak świeccy, choćby Jan Zamojski.

Pisze dalej: „Poeci polscy, jak Potocki i Ko-

Plan brytyjski ma dwie główne cechy charakterystyczne: 1. — wyraźnie wypowiedzianym jego celem jest dostarczenie obrotom międzynarodowym dodatkowej ilości środków płatniczych — kredytów książkowych w „bancor” dla zastąpienia nimi złota, którego podział jest dziś taki, że tylko Stany Zjednoczone mogą nim rzeczywiście płacić i 2. — przyjmuje się wszystkie wyniki dotychczasowych doświadczeń z walutą manipulowaną i ograniczeniami dewizowymi. Tylko obsługa już poprzednio zaciągniętych zobowiązań nie może być wstrzymana.

W przeciwieństwie do tych zasad plan amerykański (którego autorem jest Harry White) proponuje system, bardzo przypominający system walutowy, oparty na złocie. Fundusz, którym się finansuje ujemne salda bilansów handlowych, powstaje tu nie jako dodatkowa siła kupna, lecz jest wnoszony przez udziałowców w formie złota — minimum 5% udziału — własnej waluty i obligacji, a ponieważ dalej relacja nowej jednostki pieniężnej — „unitas” do złota jest stałą, a paritet poszczególnych walut państwowych może być zmieniany tylko za zgodą 4/5 zarządu funduszu, więc mamy tu w praktyce bardzo sztywny system złoty, w którym dostosowanie kraju do cen światowych może nastąpić tylko przez obniżki lub podwyżki poziomu cen. Pożyczki na finansowanie sald bilansu wyznaczane są do wysokości sum, złożonych przez uczestników, tak że np. niedobór bilansu handlowego Polski ze Stanami Zjednoczonymi byłby finansowany dolarami, wniesionymi przez Stany Zjednoczone jako swój udział w funduszu wyrównawczym. Wyraźnie zakazane jest używanie takich środków polityki pieniężnej, jak ograniczenia dewizowe, i kraje, mające niedobory w obrocie z zagranicą, mo-

gą je uzdrowić tylko przez politykę deflacyjną — drugą alternatywą jest ciągle zadłużanie się w krajach, mających nadwyżki.

W praktyce jedynym większym krajem, który będzie miał nadwyżki po tej wojnie, będą Stany Zjednoczone. Wielka Brytania, której przemysł rozwinął się ogromnie w czasie wojny, będzie nadwyżkami pierwszych lat powojennych spłacać różnego typu krótkoterminowe zobowiązania wojenne, wynikające zwłaszcza z tego, że przy wojennych trudnościach transportowych eksport brytyjski jest przez cały okres wojny silnie ograniczony.

Stany Zjednoczone byłyby więc przez pewien czas jedynym bankierem świata, co byłoby możliwe tylko przy przejściu świata na amerykański system monetarny, t. zn. na walutę złotą. Nie wiadomo, czy kosztą, związane z zadłużeniem się w Ameryce dla otrzymania złota, opłaciłyby się.

Dyskusja nad tymi projektami monetarnymi toczy się i w wypowiedziach przedstawicieli różnych krajów odzwierciedla się przede wszystkim sytuacja tych krajów, ich posiadane zapasy złota i bilans handlowy. Najbardziej charakterystyczne są zdania niemieckich kół fachowych na ten temat. Niemcy, których system regulowania obrotów międzynarodowych polegał na niewypłacalności w stosunku do swoich wielkich wierzycieli oraz na dyktowaniu cen i zmuszaniu do udzielania im kredytów handlowych, jeśli chodziło o słabszych płatników, jak np. państwa bałkańskie, przyjmują nagle brytyjski plan rozrachunków międzynarodowych lorda Keynesa jako podstawę ułożenia stosunków monetarnych świata po wojnie. Stanowisko to jest z jednej strony świadectwem braku wiary w zwycięstwo niemieckich kół finansowych, z drugiej zaś strony jest wyrazem bankructwa własnych koncepcji gospodarczych, ogólnie znanych jako „nowy porządek”. Nic w tym dziwnego. Dziedzina obrotów międzynarodowych wymaga wszędzie przystosowania rynku wewnętrznego do sytuacji światowej i kompromisu pomiędzy celami wewnętrznymi i wymaganiami współpracy międzynarodowej. Niemiecki nowy porządek miał tylko fasadę z hasłami współpracy, a logika wewnętrzna systemu niemieckiego szła wszędzie w kierunku panowania i podporządkowania krajów europejskich celom gospodarki niemieckiej. System ten nie mógł być atrakcyjny nawet dla państw sojuszników Niemiec, a być może same sfery finansowe niemieckie także marzą o pewnej autonomii w stosunku do kierownictwa politycznego i stąd ich entuzjazm dla alianckich projektów gospodarczych.

Dziwnie brzmi jednak oświadczenie „Frankfurter Zeitung”, organu finansów niemieckich, piszące, że:

„Potrzebne będzie ograniczenie panującej od dziesięciu lat tendencji prowadzenia polityki gospodarczej wyłącznie pod kątem widzenia potrzeb narodowych. Sztuka polegać będzie na uzgodnieniu tych potrzeb z wymaganiami wymiany międzynarodowej”.

I widmo przegranej wojny, i zbankrutowany system przewagi gospodarczej przebijają z tego oświadczenia, pomimo że redakcja próbuje udowodnić, iż system brytyjski jest uderzająco podobny do niemieckiej „Verrechnungskasse”, wprowadzonej w oparowanej Europie w miejsce przedwojennych bilateralnych układów rozrachunkowych.

Zapomniano tylko o tym, że cały system bilateralnych układów rozrachunkowych stworzony był po to, aby w skutek odosobnienia każdy z partnerów Rzeszy był stroną słabszą w obrotach i aby, wiążąc dany kraj do handlu z Rzeszą, uniemożliwić mu obroty z szerszym światem, płacącym wolnymi walutami.

Kraje Europy Środkowej straciły w ten sposób swoją niezależność gospodarczą i możność dysponowania swoim handlem zagranicznym. Raz zawarte większe kontrakty z Niemcami pozbawiały te kraje rezerw walut wolnych i przemysł niemiecki był już jedynym możliwym dostawcą, co oczywiście Niemcy umiały wykorzystywać. Dziś wobec wojkowego i politycznego opanowania Europy można od rozrachunków dwustronnych przejść do wielostronnych, zatrzymując jednak zasadę podstawową, że sumy które Niemcy winni są jednemu krajowi, pozostają zablokowane i nie kompensują się z wierzycielami Niemiec w stosunku do żadnego innego kraju. Na tym polega zasada Schachta i jest ona dziś nadal w pełni stosowana, co zresztą nie przeszkadza Niemcom w wykorzystywaniu położenia przynależnego krajów okupowanych dla wykupywania lub obejmowania własności przemysłowej i finansowej.

Z polskiego punktu widzenia potrzebne byłoby także zajęcie stanowiska wobec brytyjsko-amerykańskich planów monetarnych, przyczem należy tu wziąć pod uwagę interesy całej Europy Środkowej, którą powojenna polityka gospodarcza powinna uchronić od niemieckiego monopolu handlowego, zwłaszcza silnego w krajach nadnaujskich w okresie wielkiego kryzysu.

Wydaje się, że regionalne porozumienie handlowe i monetarne mogłoby tu zdziałać dużo dla zrównoważenia nacisku Niemiec, które i po wojnie pozostaną wielkim nabywcą towarów, wywożonych z Europy Środkowej.

chowski, łączący obronę ojczyzny z walką o religię” i t.d. Znowu nie wie, że Potocki był arianinem i dopiero pod koniec życia został katolikiem.

Pisze: „...ogłoszone niedawno oświadczenie biskupa Kluczyńskiego”. Nie wie, że Kluczyński był nie biskupem, lecz arcybiskupem mohylowskim, rezydującym w Petersburgu. Oświadczenia, jakie mu Rhode podsuwa, nigdy nie składał.

Przytacza dalej słowa rzekomo Słowackiego: „Papieżstwo nie mogło już wypieścić swej misji historycznej i musiało być zastąpione przez nowe Papieżstwo. Cały naród miał objąć to Papieżstwo, mianowicie polski, ponieważ on jedynie posiada czującą wiarę” i t. d. Takich słów nie ma u Słowackiego. Jeśli zaś Rhode w taki sposób streszcza poglądy Słowackiego, to go fałszuje.

Dalej pisze „mniich polski Towiański”, nieco dalej mówi: o „decydującym” wpływie Towiańskiego na Krasieńskiego. Wiadomo, że w przeciwieństwie do Mickiewicza i Słowackiego, właśnie Krasieński nie uległ nigdy wpływowi Towiańskiego. Zapewnia, że „w czasie zgniewienia powstania r. 1848 nie zaszedł ani jeden wypadek zbieżności kościołów przez żołnierzy pruskich”. Z taką samą prawdziwością mógłby twierdzić, że podczas obecnej wojny Niemcy nie zbieżności ani jednego kościoła katolickiego. Ale tutaj jest to nie tyle ignorancja, ile proste kłamstwo.

[W czasie Kulturkampfu, rozwodzi się dalej, Polacy nazywali katolików niemieckich „Auchkatholiken”. Znowu nie wie, że nazwa Auchkatholiken jest pochodzenia niemieckiego, a oznaczali nią wierni Kościołowi katolicki niemieccy tych katolików Niemców, co występowali się prześladowaćemu Kościołowi rządowi pruskiemu.

[Korfantego nazywa „późniejszym prezesem polskiej partii katolickiej”. Takiej partii nigdy nie było w Polsce.

„Katolik”, dziennik założony z pomocą duchowieństwa niemieckiego, „Katolika” założył ks. Radziejowski, z Poznańskiego, którego znam osobiście. Później właścicielem był Napieralski i kilku księży Polaków.

Mówiąc o księżce ks. Łukaszkiewicza „Legenda i historia o Wiśle”, Rhode powiada: „Nie należy myśleć, że chodzi tu o mętne plany i idee jakiegos odoobnionego i nieznanego ogółowi fantasty”. Kto zna ks. Łukaszkiewicza? Właśnie on był mało znanym fantastą.

[Rhode pisze: „Grecko-katolicy, mieszkający poza tym terytorium (prowincja kościelna lwowska), musieli należeć do parafii „rzymsko-katolickiej”. Nie wie o istnieniu szeregu parafii katolickich obrządku wschodniego, gdziekolwiek się znaleźli, wierni tego obrządku nawet w niepołącznej liczbie.

Mówi o klasztorze Bernardynów „w Wysokokuł”. Takiego klasztoru nigdy nie było. Mówi dalej o kościołach niemieckich w Krotoszinie, Kościanie, Poznaniu, Bydgoszczy. Te kościoły były wystawione za czasów dawnej Rzeczypospolitej przez zakonników Polaków, a przez rząd pruski zagrabione i oddane na nabożeństwo posprowadzonym Niemcom. Za czasów polskich powróćono je ograbionym zakonnikom z tym jednak, że ci nie wiali także nabożeństwa dla Niemców katolików. Czemu dalej Rhode przemilcza, że „niemiecki” kościół pojezuicki w Bydgoszczy zburzyli sami Niemcy podczas obecnej wojny, i to wcale nie w czasie działań wojennych?

To, co tutaj przytaczamy, jest przykładem ignorancji faktów pospolicie znanych w Polsce, Rhodego znajomość tych rzeczy nie obowiązuje. Do tego czasu nauka niemiecka sygnęła z kłamstw i potwarzy w odniesieniu do wszystkich co polskie. Przy całym przekręcaniu faktów i oszukańczej interpretacji, pozostają jednak na znajomości rzeczy. W osobie Rhodego przemilcza, że troszczyć nawet o pozory prawdy, po prostu zmyśla i kłamie. Nie będziemy się martwić z tego powodu.

... Ks. Kamil Kantak.

TEOFIL SZANFARY

Najmniejsza mniejszość narodowa

Uwaga wstępna: Nazwa „karaim”, z hebrajskiego wzięta, jest właściwie liczbą mnogą, poprawniej i logiczniej więc byłoby używać nazwy „karaita” i „karait”. Tak też pisał w swej rozprawie Tadeusz Czacki i inni autorzy. Jednakże nazwa „karaita” ogromnie razila ucho Karaimów, godząc boleśnie w coraz bardziej budzącą się u nich godność narodową „Kara-it” — „czarny pies”. Pozostaliśmy więc przy nazwie „karaim”, liczba mnoga — „karaimi”.

Dokument, który zawiódł

Karaim z Łucka, żołnierz w szeregach Armii Polskiej, który po długiej tułaczce w Rosji znalazł się tymi dniami w Jerozolimie, zjawił się w biurze Żydowskiej Rady Narodowej (Waad Leumi) i głosem zdławionym złożył relację o tragicznym losie gmin karaimek na ziemiach polskich i na Litwie. Wyteplił je niemal doszczętnie krwawi siepacze niemieccy. Karaimi polscy i litewscy, choć nie byli Żydami, a przynajmniej nie uważali się za Żydów, podzielili los mieszkańców ghettów.

Trudno właściwie dociec, jak do tego doszło i dlaczego. Kto zdoła przeniknąć tajniki owej otchłani zbrodni, która z szatańską furją szaleje i sroży się na ziemiach okupowanych. Drobną garstką Karaimów czuła się chyba



Chacham Seraja Bej Hadzi Szapszał.

bezpiecznie nawet pod okupacją niemiecką. „Papiery” miały w porządku. Karaimski przewodnik duchowy, J. E. chacham Seraja Bej Hadzi Szapszał, starzec dostojny i pełen osobistego uroku, wśród dokumentów swoich pieczętów przechowywał oryginał i odbitek fotograficzną owego numeru urzędówki niemieckiej „Reichsgesetzblatt”, z którego tam roku, miesiąca i dnia, gdzie czarno na białym reskrypt specjalny rządu niemieckiego przyznawał osobom pochodzenia karaimek prawo aryjskich czystej krwi. Staruszek chował dokument na najczarniejszą godzinę. Miał to być glej żelazny — na wszelki wypadek. W mieszkaniu swym przy ulicy Stromej 5 w Wilnie, gdzie mieściło się równocześnie karaimek muzeum, pokazywał mi w zaufaniu dokument ten, owej srożej zimy roku 1940 w czasie jednej z wizyt moich u głowy wyznania karaimek w Polsce. Jak to się stało teraz, że i ten dokument nie pomógł?

Turecy, ergo... aryjezy

Swoją drogą, historia samego dokumentu jest dość ciekawa i dla stosunków niemieckich charakterystyczna. Kiedy reżim hitlerowski zaczął myśleć o wyprawie zbrojnej na Rosję — na parę lat przed czerwcem 1941 — zaczęły się organizować w Berlinie pod oficjalną opieką Reichsweltry oddziały białogwardystów rosyjskich, którzy w wyprawie mieli wzięty udział. I oto dzieje się któregoś dnia, iż podczas inspekcji oddziałów „białej gwardii”, dokonanej przez przedstawicieli wojskowych władz niemieckich, wychodzi na jaw rzecz arcydziwna i tajemnicza: wśród kandydatów do uczestnictwa w przyszłej krucjacie antybolszewickiej, znajdują się typy co najmniej podejrzane, bo mające imiona — hebrajskie. Biblijne. Jakis Abraham, a tu znowu Jezajasz, czy inny Ezechiel. Kreuzdonnerwetter, co to takiego — Żydzi?!

Białogwardziści o imionach biblijnych tłumaczą się: nie są Żydami. Pochodzą z Krymu i mówią po tatarsku. Wyznanie — karaimek.

Co usłyszawszy, ów oficer niemiecki, odbywający inspekcję białogwardystów, — zbierał od reszty. Poszedł raport urzędowy do Reichsweltryministerium. Tam któryś z generałów otworzył szeroko oczy, raport ów czytając: nie z niego nie rozumiał. Sprawa poszła do ministerstwa oświaty i wyznań, gdzie z kolei głowił się daremnie nad trudnym tym kawałkiem urzędowym jakiś radca ministerialny. Wreszcie skierowano sprawę do Pruskiej Akademii Nauk. Ta rzecz całą oddała do zbadania któremuś z młodych docentów historii. Szereg miśnięcy szperali docent niemiecki po bibliote-

kach i archiwach. Wreszcie wymęczył dysertację całą o sekcje karaimów, jej historii, jej pochodzeniu rasowym. Niemieckiej „Gründlicheit” stało się zadość. Białogwardziści o biblijnych imionach Abraham, Jezajasz czy Ezechiel mogą pozostać w szeregach. Uznani zostali za — Turków moższewowego wyznania, ergo... „aryjezyków” najczystszej krwi. W ślad za tym ukazał się i ów dekret na łamach urzędowej „Reichsgesetzblatt”, przyznający Karaimom prawa i przywileje aryjezyków. Ten to właśnie dokument starannie przechowywał u siebie dostojny chacham karaimek.

Fantazja i rzeczywistość

Pamiętacie „Wspomnienie z Maripoy”? Wyobraźmy sobie otóż na chwilę taką sytuację: nie to, że jakiś emigrant z Polski zabłąkał się za ocean, mając w tobołku Biblię w przekładzie ks. Wujki, że tak tę polszczyzną biblijną nasiąknął, iż izolowany całkowicie od żywego języka polskiego, używał potem wyrazów takich, jak „przebóg”, „azali”, „lubo”, czy „lepak”. Wyobraźmy sobie, iż całe jakieś mazowieckie plemię oderwało się od wspólnego pnia polskiego, gdzieś w wieku XVI, gdy ks. Wujek klasyczną polszczyzną Wulgaty św. Hieronima przekładał, lub lepiej — cofnijmy się jeszcze o jakieś lat trzydzieści, do okresu powstania Kazań Świętokrzyskich. Pofolgujmy na chwilę fantazji i wyobraźmy sobie, że pod koniec wieku XIII kilkadziesiąt rodzin polskich, opuściwszy rodzinne strony, zabłąkało się gdzieś nad norweskie fiordy, czy też może do Szkocji, tam gdzie dziś obozuje Armia Polska. Odeici przez wieki całe od żywych źródeł języka polskiego, wyimaginowani ci emigranci polscy mówiliby oczywiście po dziś dzień swoim własnym archaicznym językiem z niewątpliwą domieszką wpływów leksykalno — gramatycznych najbliższego otoczenia, w zasadzie jednak byłby to język — Kazań Świętokrzyskich!

Jest to oczywiście fantazja. Ale ta fantazja, tak dziwnie napozór wyglądająca, ziściła się najdokładniej u Karaimów polskich. Zamienimy tylko język polski na tureczyny wieku XIII, na jakiś język zbliżony do języka t. zw. kodeksu kumańskiego, do języka połowieckiego, — a wszystko zgadzać się będzie co do joty.

W mrokach legendy

Skąd się wzięli Karaimi na ziemiach polskich? Tradycja ich ustna, niepozobawiona cech prawdopodobieństwa, głosiła, że sprowadził ich z Krymu Wielki Książę Litewski Witold, chcąc mieć w nich obrońców przed Tatarami, łupiącymi granice wschodnie Litwy. Średniowieczne zbroje rycerskie, rozstawione po kątach sali, w której mieściło się muzeum karaimek w Wilnie, świadczyć miały o tej wojowniczej przeszłości Karaimów. Jak było naprawdę — nie wiadomo. Najstarsze dokumenty, jakie zachowały się w Trokach, największej gminie karaimek w Polsce, nie odróżniają jeszcze Karaimów od Żydów, co w dużej mierze utrudnia badanie początków karaizmu w Polsce.

Prawdopodobnie już w XIV w. istniały na ziemiach polskich osady Karaimów. Mieli oni za zadanie, podobnie jak Żydzi, wzmocnić słaby element miejski, poza tym, jako że dobrze znali się na rolnictwie, a i dziedzina handlu nie była im obca, w szczególności handlu ze Wschodem, stanowić mogli nabytek bardzo pożądanym. Pewne wpływy językowe arabskie i perskie w narzeczu Karaimów polskich wskazują niezbicie na to, iż zanim przybyli oni na ziemię polską, musieli przez dość długi okres czasu znajdować się na obszarach o kulturze muzułmańskiej. Mogły to być obszary, położone nad Morzem Czarnym. Mogły to być Krym, skąd istotnie Karaimi się wywodzą.

Karaizm jako sekta religijna żydostwa powstał, jak wiadomo, w wieku VIII ery chrześcijańskiej w Babilonii. Stosunek jego do żydostwa jest mniej więcej taki, jak stosunek reformacji do katolicyzmu. Karaizm oparł się wyłącznie na Biblii i jej dostojnym brzmieniu, odrzucając wszelkie komentarze późniejsze i wszelką tradycję ustną. Karaimi nie uznają więc Talmudu. Kwestia przedostania się karaizmu na wybrzeża Morza Czarnego nie jest dotąd należycie rozświetlona. Istnieje wersja, iż grupa karaimek misjonarzy nawróciła na obrządek karaimek średniowieczne państwo Chazarów, i że Karaimi krymscy oraz polscy mieli być właśnie pochodzenia chazarzkiego.

Owad zatopiony w bursztynie

Tak czy inaczej, stanowili Karaimi — najmniejsza mniejszość narodowa w Polsce — nielada osobliwość językową i etnograficzną. Inne żywioły wschodniego pochodzenia, które przywędrowały na ziemię polską — liczniejsi od Karaimów Tatarzy oraz Ormianie, zatarli bez śladu swoje narzecza tureckie (jeśli chodzi o Ormian, używali oni pierwotnie poza swym językiem ormiańskim, pochodzenia indo-europejskiego, także dialektu tureckiego, pokrewnego nieco językowi Karaimów). Tylko karaimek język ostał się, nie zgryzł go żąb czasu. Jakgdyby owad zasklepiony w bursztynie nowej masie, przetrwał wieki, zachowałyby wszystkie swe archaiczne cechy, co dla badacza tureczyny stanowi nielada przynętę. To tak, jakby jakiś dialektolog polski napotkał gdzieś, jak się rzekło, w Norwegii czy Szkocji, na jakowejś osobliwej plemię mazowieckie, mówiące po dziś dzień archaizmem Kazań Świę-

tokrzyskich. Język zachodnio-karaimek, odezwany od wspólnego pnia tureckiego gdzieś w wieku XIV, przeniesiony potem w środowisko czysto słowiańskie i w środowisku tym całkowicie izolowany — jako najdalej na Zachód wysunięta wysepka językowa tureczyny — zachował w zadziwiającej czystości swe cechy archaiczne, w przeciwieństwie do narzecza pozostałych na Krymie Karaimów, które z biegiem lat upodobniło się zupełnie do języka sąsiednich Tatarów krymskich. Ci zaś ulegali oddawna coraz silniejszym wpływom językowym osmańsko-tureckim.

„Oda do młodości” — po karaimek

Wąskim pasem ciągnęła się dzielnica karaimek w Trokach, t. zw. Karaimszczyzna, wtłoczona pomiędzy dwie części Jeziora Trockiego, Gałwe i Tatarszki. Była to jakby duchowa stolica Karaimów. Tu mieścił się starożytny cmentarz ich i najstarsza „kienes” (dom modlitwy), z drzewa wybudowana nad brzegiem jeziora. Ktokolwiek zwiedzał Troki, zachodził do schludnej, dywanami wschodnimi wykładanej kienesy, słuchał fantastycznych opowiadań „szamasza” (który lubił koniecznie nazywać się „zakrystianem”), a kto miał cierpliwość i ochotę, odwiedzał też duchownego gminy, starszego „hazzana” (po karaimek: użu-hazzan) Szemaję Firkowicza, ubranego jak wszyscy duchowni karaimek w długą sutannę. Hazzan Firkowicz, człowiek młody jeszcze, z dumą pokazywał gościom stare przywileje królów polskich, nadane Karaimom, z nie mniejszą jednak dumą przedstawiał liczne potomstwo swoje — nadzieję i przyszłość zwołna wymierającego plemienia. Małe, czarnookie i smagłe karaimek popisywały się deklamowaniem wierszyków karaimek, układanych przez duchownego tatusa. Trzeba bowiem wiedzieć, że użu-hazzan Firkowicz był także z Bożej łaski poetą i tłumaczem utworów poezji polskiej na język karaimek. Przełożył m. in. „Ode do młodości”. Początek wyglądał tak:

Iochtur dżan da jocht juriak —
bunda gufsuz dun’ja!
Hoj igit’lik! Bier kanat’ar maja,
Uczarmyn tierk tiri — iöulardian!
O’ bostanha, kajda kiusieczyja
Aczytyr’ar ot tamasza — iszlar,
Czeziak kibik jaszarhant’ar
Da bolur’ar kiorkkia ałtyn
umsunczuja!

Ojciec duchowy renesansu

Karaimi zwołna wymierali. Żenili się tylko między sobą (Karaim biorący żonę niekaraimek rodu stawiany był poza nawias gminy), przyrost zaś naturalny mieli na ogół biorąc znikomy. Dużo starców, mało młodzieży. To też właśnie na tym tle, usposobiającym szepczącą garstkę inteligencji karaimek do melancholijnych refleksji, zarysowało się tym ciekawiej dążenie do pewnego jakby odrodzenia duchowego karaimek. Wzruszające niekiedy były objawy budzenia się czegoś w rodzaju świadomości narodowej wśród zanikającej garstki, broniącej się kurczowo przed ostatecznym schyłkiem, przed zejściem z areny dziejowej.

Duchowym ojcem owego renesansu karaimek, twórcą i głosicielem tego jak gdyby... syjonizmu karaimek był wspomniany już chacham karaimek Seraja bej Hadzi Szapszał. Arcyciekawa to postać. Urodzony w r. 1873 na Krymie, w tak dobrze nam znanym z „Sonetów Krymskich” Bachczyseraju, jako syn dostojnej rodziny karaimek, młody Szapszał początkową naukę pobierał w Symferopolu, poczem wyruszył do Petersburga, gdzie na wydziale wschodnim tamtejszego uniwersytetu poświęcał się studiom orientalistyki, specjalizując się w języku hebrajskim, w narzeczach tureckich, oraz w języku nowoperskim. Studia kończył z odznaczeniem i mianowany zostaje kandydatem na profesora języka i literatury tureckiej.

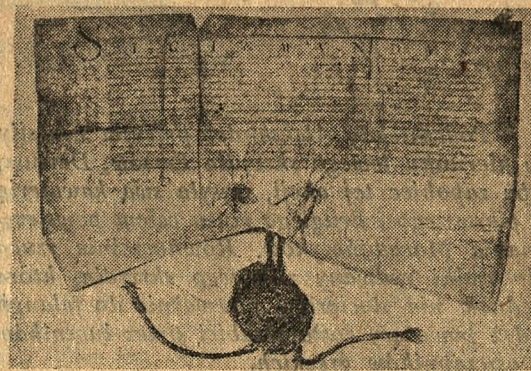
Na dworze „króla królów”

W tym czasie poselstwo perskie w Petersburgu zwracało do rządu rosyjskiego z prośbą o wydelegowanie któregoś z orientalistów, mających należyte wykształcenie ogólne, do królestwa szacha — na stanowisko wychowawcy następcy tronu. Wybór padał na młodego uczonego karaimek. Szapszał jedzie do Persji i kilka lat spędza w Tebrizie, jako t. zw. adib-us-sultan (wychowawca panującego), tam bowiem mieścił się wówczas stała rezydencja następcy tronu. Przeżywa chwilę radosną: uczeń jego obejmie tron szacha, jako „król królów” Mohammed Ali. W związku z tym przenosi się do stolicy, gdzie awansuje na ministra dworu. Zniechęcony jednak intrygami politycznymi, rezygnuje z zaszczytnego urzędu i wraca do Rosji. Przez jakiś czas pracuje w wydziale wschodnim rosyjskiego M.S.Z., rzuca i to stanowisko, by objąć godność chachama taurydzkiego, czyli głowy duchowej Karaimów krymskich. Na tym stanowisku zastaje go rewolucja bolszewicka. Karaimi na Krymie zostają zdziesiątkowani, sam chacham chroni się w r. 1919 do Konstantynopola, gdzie pędzi żywot emigranta i gdzie po latach dosięga go zaszczytna propozycja objęcia stanowiska głowy wyznania karaimek w Polsce. We wrześniu 1928 r. odbywa się w Trokach uroczysty ingres nowego duszpasterza Karaimów, którego wprowadza na urząd ówczesny wojewoda wileński, dzisiejszy Prezydent Rzeczypospolitej, p. Władysław Raczyński.

Oaza wschodnia nad Wiliją

Rychło zdobywa Jego Ekszelencja chacham (tylko tak tytułowano go w Wilnie) dużą popularność i szczególny mir wśród wszystkich sfer społeczeństwa wileńskiego. Jakiś niezwykły czar rozciągał jego charakterystyczną patriarchalną postać. Gościnnie na modłę wschodnią aż do pewnej przesady, niezwykle skromny i uprzejmy, godzinami mógł gawędzić z każdym, kto wydawał mu się bliski, w swoim pięknym mieszkaniu na Stromej, które samo przez się było jakby oazą wschodnią, żywcem przeniesioną nad brzegi Wilii. Wspaniałe dywany perskie, oryginalne makaty karaimek, damascenka broń, kawa po turecku i owe wspomniane już rycerskie zbroje — nadawały rezydencji jego szczególny jakiś, egzotyczny urok.

W czerwcu 1940 r. staruszek opuścić musiał mieszkanie: nie było na komorne. Zrzucił duchowną szatę i przeniósł się na Zwierzyniec, gdzie w budynku gminy karaimek przy kie-



Zygmunt III przywilej dla Karaimów.

nesie zajął malutkie dwa pokoiki. Pamiętkowych dywanów nie chciał się wyzybywać, wolał żyć w biedzie. W grudniu tegoż roku dał błogosławieństwo na drogę...

Ostatni Mohikanie

Wymierali zwołna Karaimi polscy. „Od-krył” ich w samą porę dla nauki europejskiej prof. Tadeusz Kowalski, podejmując kilkakrotnie wyprawy naukowe do wszystkich czterech gmin karaimek na ziemiach polskich (Troki, Wilno, Łuck, Halicz; piąta gmina znajdowała się za kordonem litewskim — w Poniewieżu, była więc niedostępna). Rząd polski za staraniem przedstawicieli nauki rozłożył troskliwą opiekę nad tym żywym zabytkiem muzealnym, udzielając Karaimom poparcia w każdej możliwej postaci. Spokojny tedy żywot wiedli Karaimi polscy w swoich kilku rezerwach. Modlili się w swych kienesach po hebrajsku i po karaimek, uprawiali rolę, wyhodowali w Trokach jakiś specjalny gatunek ogórka, żyli z robotnictwa, zakładali sieci w wodach Jeziora Trockiego, mniej zajmowali się rzemiosłem, najmniej handlem. Garstka inteligencji piastowała wyższe niekiedy urzędy państwowe:



Kienes w Trokach.

był w Wilnie Karaim dyrektorem wojewódzkiego wydziału robót publicznych, inny był wiceprezes Izby Kontroli, jeszcze inny szefią okręgowym, poczmistrzem, jeden obrał karierę naukową: został profesorem filologii orientальной na Uniwersytecie Warszawskim.

Właśnie u schyłku swych dziejów zaczęli Karaimi jakby budzić się do nowego życia. Zaczęła się tworzyć karaimek literatura świecka, pojawiali się pierwsi poeci karaimek (Kobecki, Firkowicz i in.). W Wilnie wychodziła w ostatnich latach „Mysl Karaimek” — czasopismo literacko-naukowe, w Łucku pojawiała się w języku karaimek „Kara-j-Awazy” („Głos Karaimek”), gdzie karaimek pisarze ogłaszali swe utwory.

Furor teutonicus przyspieszył kruszący proces historii. Krwawi zbrodniarze niemieccy wymordowali pozostałą resztkę Karaimów polskich — liczba ich nie przekraczała chyba 700 dusz w całej Polsce — wtedy właśnie, gdy ostatni mohikanie karaimek snili sen o nowym zyciu, o duchowym renesansie.

WAZNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!
NA SEZON LETNI
poleca w wielkim wyborze
mundury drelchowe i wejgiane, szorty,
koszule gotowe i na zamówienie, biele-
żone trykotowa, oraz wszelkie artykuły
i galanterię wojskową a także ręcznie
haftowane dystynkcie.
GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

JÓZEF CZAPSKI

O TECHNICIE MALARSKIEJ

O przerwach w pracy

Podczas przerw można zrobić pewien większy lub mniejszy postęp w świadomości, ale przy powrocie do pracy jest się zawsze zaskoczonym na nowo tym, że niezależnie od postępu w świadomości — praktycznie w samej realizacji jest się cofniętym. Malarz musi zaczynać na nowo, i to nawet nie tam, gdzie pracę swoją urwał, ale o wiele wstecz. Jeżeli malarz tej prawdzie poddać się nie zechce, ulegnie złudzeniu, że postęp w świadomości to jest już postęp w samej zdolności realizacji — skazuje się na bez porównania dłuższą drogę, na szkodliwe błądzenie, które jest świadomym, czy nieświadomym zakłamywaniem się, niszczeniem z trudem zdobytych podstaw pracy, często na zawsze.

Większość „wykończan” malarzy polskich, powolnego ale niechybnego cofania się kiedyś uzdolnionych artystów pochodzi właśnie z tego, że przyjmują oni swoje własne przeżycia wewnętrzne za przesłanki, pozwalające im na skok twórczy w realizacji, na skok przedwczesny poprzez cały szereg nieprzepracowanych etapów.

Te etapy przeskoczone wymagają czasu, który się nie liczy, wiele potu, trudu, zupełnie nieraz zdającego się bezpłodnym, z którego świadomie czy podświadomie próbujemy się

Urywki z dziennika

jest trochę jak Lope de Vega, — pisze Teophile Gautier, — który w momencie gdy pisał swe komedie, zamykał przepisy na sześć kluczy — con seis llaves — i w ogniu pracy, świadomie lub też nie, zapominał o swoich systemach: o paradoksach.

Przykład z mej pracy: miesiącami pracuję analitycznie. W miarę podnoszenia się temperatury pracy, ostrości widzenia, precyzji oka, analiza staje się bardziej dokładna, ilość barw i odcieni wzrasta od tego stopnia, że przychodzi chwila, gdzie wyczuwam bezgraniczność tego wzrostu, rozkładanie barwy na plamy cieplejsze i zimniejsze staje się coraz bardziej precyzyjnym, z drobnego przecinka przechodzę na plamkę, z plamki na kropkę coraz mikroskopijniejszą. („Gładka sciana” szara na drogocennym małym płótnie Vermeera w Luwrze — „Hafciarka” — widział na przez lupę, przedstawia serię kropek doprowadzonych jedne w drugie, cieplejszych i chłodniejszych). I wtedy właśnie, kiedy odwrócony od jakiegokolwiek innego zadania, jestem zanurzony w ten bezgraniczny rozszerzający się świat odcieni barwnych, kiedy po mniej lub

był autorem późniejszych portretów, postaci, pejzaży, autorem „Beigneuses”. Różnica polega na tym, że w aktach młodzieńczych Cezanne był jeszcze zupełnie pozbawionym wizji, pokornym uczniem, a w późniejszych dziełach swoich widział syntetycznie własnym jedynym spojrzeniem otaczającą go rzeczywistość.

Auguste Breal, malarz i autor książki „Cheminement”, kolega z akademii Matisse’a (oba byli uczniami Gustave Moreau na spółkę z Roualem i Marquetem) opowiadał mi, że Matisse dochodzi do swoich obrazów „błyskawicznych”, malowanych nieraz zaledwie parę minut, poprzez pracę nieraz wielomiesięczną nad naturalistycznymi, wypilowanymi płótnami, których zresztą nie pokazuje. Sam widziałem na wielkiej wystawie Matisse’a w Paryżu w r. 1931 wypracowane po szkolarsku precyzyjne dwie kopie Matisse’a z Ruysdeala i Chardin’a (ogromne płótno: mięsiva, ryby, moździerze, kot). Trudno o bardziej sprzeczne technicznie podejście do malarstwa. Zresztą płótna te właśnie, o których Breal mówił mi z zachwytem, zrobiły na mnie wrażenie głuchych (empatés), właśnie tym się różniących od oryginałów, że brakowało im wysokiej „qualité” i tej dyskretnej wspinałowej wibracji barwnej, którą cechuje każdy obraz Ruysdeala, każdy obraz Chardin’a, brakowało mu również Matisowskiej dźwięczności barwnej najlepszych płócien tego nierównego, ale wielkiego malarza.

Jeżeli chodzi o mnie, długo męczyła mnie ta dwoistość podejścia — jedna analityczna, rozumowa, wyrastająca z tradycji Holendrów i do pewnego stopnia z pointillistów, druga dla mnie samego nieoczekiwana — prawdziwy skok w przepaść. Widziałem w tym brak scalonej indywidualności, jakby rozdwojenie jaźni, które próbowałem sztucznie przezwyciężyć bez żadnego zresztą rezultatu. Z czasem skonstatowałem jednak to samo zjawisko nie tylko u malarza tej miary co Matisse, ale nawet u jednego z największych — u Goi. Wystarczy popatrzeć na obrazy Goi w Prado. Jego chłodne mistrzowskie portrety królów, wielkich dam i ministrów, są malowane do tego stopnia gładko, że nie wyczuwamy położenia pędzla, klasyczne w ułożeniu i w cudownym „dopiłowaniu” każdego szczegółu, w materialności przedmiotów i w uwzględnieniu stałym kolorów lokalnych i niestwierdzonej, z góry przemyślanej gradacji walorów. Obok sali tych portretów w sali drugiej, bocznej, źle oświetlonej wisiały w 1930 r. obrazy tegoż Goi, tak całkowicie różne, że trudno było uwierzyć, by mógł je ten sam autor namalować. Sceny z wojen, sceny dzikie czarnie, malowane „błyskawicznie”, w uniesieniu, tak że widzimy każde pociągnięcie pędzla, kontrasty barwne są brutalne, prawie Soutine, przy lekceważeniu koloru lokalnego, materii przedmiotów, tak że niektóre z płócien robią wrażenie prawie że abstrakcyjnych zestawień barwnych.

U większości malarzy to przejście od płócien, które cechuje przede wszystkim wysokie rzemiosło malarskie, do płócien wizjonerskich jest nie tak widoczne, nie tylko na płótnie, ale nawet w samym procesie pracy, jest nieraz prawie że nie do uchwycenia powolnym przeobrażeniem, bez zrywu.

Ala weźmy chociażby powiedzenia Cezanne’a, jego kult mistrzów: „czuję się dzieckiem, prowadzonym za rękę, kiedy patrzę na mistrzów w Luwrze”, a jednocześnie: „wobec natury musimy zapomnieć o wszystkich mistrzach i dojść do tego wrażenia, jakbyśmy byli pierwsi, którzy widzimy naturę”. Tu znowu jest ten sam zryw, inaczej wyrażony, zryw w jedyny własny świat widzenia.

Kiedy Corot po paru latach studiów we Włoszech wrócił do Francji, powiedział: „a teraz spytam się słońca Francji, jak mam malować”, chciał on także zapomnieć, czego się nauczył, chciał odkryć świat na nowo.

Trzeba bez strachu ignorantów i ludzi bez indywidualności nie bać się nawet zatracić siebie w studiowaniu natury, w uczeniu się u

mistrzów przeszłości i przyjąć to wszystko, jako jedyny uczciwy własny punkt wyjścia, jako odskocznik do tym dalszego i śmielszego skoku w niewiadome. Im więcej artysta jest zdolny „nasiąknąć naturą” (słowa Dürera), zdobyć doświadczenia obiektywnej wiedzy w swoim rzemiośle, rozwijać swoją wrażliwość i dar rozróżnienia, tym większym operuje kapitałem w chwili „skoku”.

O wizji, kontemplacji

„Malujemy tylko procent od kontemplacji”
Norwid.

Czym jest wizja? Pewnym syntetycznym jedynym widzeniem świata otaczającego. Takie widzenie służywa na człowieka nieoczekiwane jak łaska, czasami bez żadnego przygotowania, bez jakiegokolwiek jeszcze zdolności wcielenia jej, czasami po bardzo wielu latach pracy, jak nagroda, zawsze jednak niewspółmierna z wysiłkiem (i nawet niewymierną).

Jeżeli czytamy mistyków średniowiecznych, znajdujemy tam uderzające analogie między wizją artysty, drogami do wizji tej prowadzącymi, a drogami, które nas prowadzą do stanów ekstazy, tego co św. Jan od Krzyża nazywa „Contactus Dei”. Nie chcę bynajmniej podsyłać tutaj przeżycia artystyczne nieskończenie bardziej cielesne, materialne pod ekstazy i stany modlitewne, nie mniej jednak analogiasz tak uderzające, wykres tych stanów tak nieraz identyczny w załamaniach swych i uniesieniach, że najbardziej świecko nastawiony artysta powinienby się nad tym zastanowić. Sprawa techniki modlitewnej, metody, jak się do stanów wyższych modlitewnych doprowadzać, była przez setki mistyków rozpracowywana. Nigdy głębiej tej sprawy nie badałem, ale wystarczy przeczytać „Wyznania” św. Teresy z Avili, albo jeszcze bardziej „Skrót doktryny mistycznej” św. Jana od Krzyża, wydany w St. Maximain, żeby zobaczyć, jak wiele malarzowi ta lektura dać może. Ten suchy podręcznik, pisany stylem prawie że podręcznika gimnastycznego, pomóc może, jak żaden inny w rozróżnieniu u siebie istotnych i sztucznych, złudnych, wmówionych uniesień i natchnień. Sztucznych, dających w



SEURAT:
Promenada w Grand Jattes

„wymagać”. Im szybciej malarz umie się upokorzyć, ustalić swoje znowu cofnięte, rzeczywiste miejsce i z tego właśnie miejsca ani o krok dalej, bez pośpiechu nową pracę rozpocząć — tym szybciej będzie w stanie się wydobyć ponad już osiągnięte przedtem rezultaty.

Ala na każdy krok następny trzeba jeszcze sobie nakładać hamulce w tempie posuwania się, cały zaś nacisk kłaść jedynie na wzmaganie temperatury pracy, jej ciągłości, narastania jakościowego (wymaga to zaleźnie od jednostki i etapu to większej to mniejszej ilości pracy, godzin pracy i ciągle zmieniającej się techniki, nie tylko techniki pracy ale i techniki życia).

We Francji ginie prawdopodobnie o wiele mniej talentów, u nas marnują się one, prawie że z reguły, bo od Poussina przez Davida, Delacroixa, Degasa, Cezanne’a i tylu innych jest tam stale wzbogacana i pogłębianą tradycja, „wiedzy tajemnej”, jak pracować, nie tylko w tym powierzchownym znaczeniu zręczności wykonania ale w sensie głębokiego „oddechu” malarzkiego, związku między wizją a realizacją tej wizji.

We Francji nie istniał nigdy przesąd, popularny w Polsce, że malarz ma prawo być głupi.

O skokach i locie

„Na to żeby coś osiągnąć, nie wystarczy iść, trzeba lecieć”.

„Wyznania” św. Teresy z Avili.

W poprzednim rozdziale pisałem o fałszywych skokach, niszczących wielomiesięczny dorobek, do którego się rzetelnie człowiek dopracował, nie mniej nie widzę, by można dojść do czegośkolwiek bez skoku. Lot właśnie jest słowem, które najbardziej wyraża to, co ściśle i bez lotu się przeżywa w chwili, kiedy przychodzi moment wizji, zmiana błyskawiczna stosunku do pracy: z miarowej, prawie wyrachowanej logicznie pracy, wysiłku powolnie „rozgrzewanego” i rozszerzanego w obroży rachunku i różnych hamulców artysty jest nagle wyrwany nie dlatego że chce, ale dlatego, że nie może się oprzeć pewnej sile, w nim działającej.

Jeżeli to nie jest muzeum wewnętrznym, należy być podejrziwym, czy nie mamy do czynienia z tendencją, którą nagle rządzą czynniki inne całkiem prawa.

Nagle wszystkie przemyślane formuły pracy, przemyślane nie przez danego malarza tylko, ale formuły stanowiące dorobek wieków tradycji, przestają być aksjomatami, lecinmy naprawdę w niewiadome: to co widzimy, jak widzimy, to jak próbujemy realizować nasze widzenie, jest nieraz zupełnym przeciwstawieniem naszego dotychczas zdobytego doświadczenia, techniki pracy. „Każdy artysta

więcej długim trudzie wciąż na nowo odkrywam, że kilka farb na palecie dać nam może miliony kombinacji barwnych, wtedy nagle (i im później, tym lepiej) przychodzi widzenie świata otaczającego wręcz przeciwnie — syntetyczne. Zaczynam operować nie plamką, ale wielką plamą, płaszczyzną, działaniem nie drobnych oddzielnych wycinków, które łączę przez rysunek, i przedję rozumowe wiązanie w całość, ale zestawieniem kolorów i form, które się tak wiążą, że nie ma rysunku oddzielnego od barwy, ani barwy oddzielonej od rysunku, że plama każda ma formę, że forma jest organicznie scalona z rysunkiem barwą, że forma ta jest naturalnie, odruchowo podporządkowana kompozycji całości. To co się przed chwilą mogłoby wydawać najdziksza deformacją, staje się jedynie wiernym wyrazem wizji, odbiegającej przeważnie i całkowicie od fotograficznego naturalizmu (ale ta antyfotograficzność jest czysto indywidualna, u innych malarzy wizja może być w zupełnie innym, nieskończenie bliższym lub dalszym związku z naturalizmem).

To Manet powiedział, że za każdym nowym obrazem ma wrażenie, że „rzuca się w przepaść”. To jest właśnie ten skok, ten niebezpieczny lot, o którym piszę — do ostatniej chwili nie wiemy czy mamy skrzydła, które nas uniosą, czy runiemy w przepaść.

Znany rysunki Cezanne’a akademickie, uczniowskie, jeszcze z Aix przed jego pierwszym wyjazdem do Paryża: ostry naturalizm, rysunek poprawny i wierny do ostatnich granic. Trudno uwierzyć, by ten sam człowiek

Wystawa współczesnego malarstwa polskiego w Muzeum Bezael w Jerozolimie

Obrazy, studia i rysunki, jakie zaprezentowała Jerozolimie Wystawa Polskich Malarzy-złotych, noszą wyraźnie piętno współczesności, a prowadzenie jej i uznanie, jakie zdobyła sobie w Kairze, Aleksandrii, Bagdadzie, Tel-Awivie, a obecnie w Jerozolimie, świadczy o wysokim poziomie kulturalnym; — co więcej, napawa wiarą w dynamikę naszego „dzisiaj”, naszej kultury malarzkiej, która pozostawia już poważne wpływy, tak widoczne w bagdadzkiej wystawie dwu miejscowych malarzy, wpływy podkreślone przez całą tamtejszą prasę arabską. Podobnie zareagowała grupa artystów w Aleksandrii.

Palestyna, gdzie ruch malarzski, zorganizowany w Związku Malarzy Palestyńskich, tworzy najpoważniejsze środowisko artystyczne w tej części świata, odnosiła się do dzisiejszego malarstwa polskiego z największym uznaniem. Przyjęcie, urządzone w Tel-Awivie dla malarzy

naszych przez miejscowych artystów, dyskusje i entuzjastyczna krytyka dr. Gamzon, najpoważniejszego recenzenta w kraju, współpracownika „Haaretz”, są świadectwem dużych osiągnięć artystów polskich.

Post-impresjonizm, (wywodzący się z impresjonizmu francuskiego) jest bezspornie bazą kierunku, jakiego hołdują biorący udział w wystawie malarze.

Wystawa zbliżyła do Polski wielu obcych ludzi, którzy, jak to sami otwarcie stwierdzali, nie wiedzieli, że mamy takie współczesne malarstwo... A uznanie, i przyjaźń i sympatię dla wystawy zdobywają co? Istnienie w polskich obrazach malarzkiego problemu. Istnienie w takich płótnach wysokiego poziomu „malarzkości”. I to jest właśnie najistotniejsze, co trzeba o wystawie powiedzieć.

jj



VERMEER VAN DELFT:
Hafciarka

rezultacie płótna mętne i zafałszowane. Chcę być dobrze rozumianym. Nie chodzi mi wcale o sztukę religijną w tym znaczeniu, w którym to słowo dotychczas jest rozumiane, chodzi mi o sztukę w ogóle i o odróżnienie od niesztuki, od tego wszystkiego, co pod pozorami efektów, sztuczek, poży na oryginalność albo naśladowania udaje takie czy inne formy sztuki. Chodzi mi o malarstwo równie dobrze Cezanne’a jak Dürer’a, Degasa’a jak Giermskiego.

To Norwid powiedział, że malujemy tylko procent od kontemplacji. Jak dobrze rozumie liby to zdanie Cezanne, Corot, właściwie wszyscy prawdziwi malarze. Zainteresowanie się malarzy kontemplacją modlitewną mogłoby być punktem wyjścia do wykorzystania dla sztuki całej skarbnicy wiedzy o kontemplacji, którą zebrala literatura religijna. Ale kto czyta mistyków? Księża, zakonnicy, specjaliści, dla których malarstwo jest światem zupełnie zamkniętym i obcym, a malarze rzadko czytają wiele, a jeżeli czytają, to napewno nie mistyków.

Jasne, że drogi do natchnienia są niezmiennie różne, że nie ma mowy o mrowianych metodach w tej dziedzinie, każde nowe widzenie świata otaczającego wyrasta z niezliczonych nowych kombinacji uczucia i myślenia. Nie mniej jednak poznawanie dróg naszych poprzedników, wnikiwanie w ten mechanizm, który stany te wywołuje, może nam pomóc pracę stany te oczyścić, pogłębić, skrócić drogę poszukiwań i pomyłek. Bezmyślny stosunek bardzo wielu artystów, budujących wszystko na talencie i temperamencie, czekających beczynnie po kawiarniach na natchnienie, nie związanych świadomie z żadną głębszą tradycją, lekceważących cały dorobek myślowy wielkich mistrzów, nie tylko może, ale musi zgubić malarzy nawet bardzo uzdolnionych.

TYMON TERLECKI

O POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ*)

Nie umiałbym powiedzieć, czy istnieje jeszcze inny naród, w którym pojęcie, rzeczywistość, odrębna jakość poezji żołnierskiej jest tak niewątpliwa. Przez dziesiątki lat, przez pokolenia pokładaliśmy bez mała wszystko, najczulszą nadzieję, rozpaczliwą ufność — w poezji i w żołnierzu. Przez pokolenia widzieliśmy sens zbiorowego bycia w podnoszeniu walki orężnej i w upartym, natchnionym podtrzymywaniu wartości, których nie można sprzedać, ale i niepodobna wydrzeć.

Dziś znowu jesteśmy tym samym. Stanowi o nas poezja nieprzejednania, zapisująca się w podziemiach. I stanowi o nas żołnierz. Znowu jesteśmy narodem żyjącym pod chorągwią poezji żołnierskiej.

Ma ta poezja tytuł nadania, glejt do ludzkiej wieczności w piosence nad słowo prostej, wytchniętej z serca żołnierza i śpiewanej przez żołnierzy. Jej pierwsze cztery słowa: „Jeszcze Polska nie umarła”, złożone są bez najmniejszej sztuki, ale z wyzywającą zuchwałością i ze wszystkim jasnowidzeniem prawdy. Powiedziano o nich, iż są to „największe i najdonioślejsze słowa” w naszej mowie, iż stanowią „treść i istotę polskiego sumienia”.

Nie tylko to jest znaczące, że rzadko komu wiadome jest imię tego, kto tę pieśń złożył; poezja żołnierska liczyła poetów nieznanymi wcześniej, nim pod nieczytliwym, grzesznym brukiem stolic zakopano nieznanymi żołnierzy. O wiele bardziej znaczące jest, że pieśń o tej sile przetrwania powstała na ziemi obcej, jak ta oto pod nami. Najbardziej szczególne jest w tej pieśni coś innego. Żołnierz Legionów Dąbrowskiego, Józef Wybicki, który ją w sobie, w swoim pulsie krwi pierwszy posłyszał, patrzył jeszcze w twarz wolności, był konfederatem barskim, brał udział w insurekcji kościuszkowskiej. Mógł o sobie powiedzieć słowami poety, który żyje wśród nas: „syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni” (Broniewski). Jakimś odruchem instynktownym, skupiającym tajemną wiarę, podał czasom przyszłym, losom nieznanym, niezgrunтовanym w okrucieństwie, synom i wnukom, i synom wnuków podał — znak, hasło, zawołanie, wyznanie wiary i prawo zakonu. Poznawali się według niego i poznajemy ciągle.

Nie przeszły nigdy „z ziemi obcej do polskiej” szeregi, które śpiewały tę piosenczkę nieświadomą swego przeznaczenia. Przeszła tam tylko ona sama i — została. Zegar kulantowy wygrywał ją w dworze soplicowskim, wzniesionym z budulca najczystszej poezji. W roku 1831 śpiewano „Pieśń Legionów” na polach bitew. Teodor Tomasz Jeż, jeden z tych którzy zesłali wszystkich świat w pogoni za zjawem wolności, zostawił o niej takie oto wzruszające wspomnienie. Gdy w przeddzień styczniowego wybuchu przybył sekretnie pod zabór rosyjski, ze zdumieniem usłyszał, że pocztylioni, zmówieni z władzami ruchu, grają po drogach leśnych melodię mazurka i echo ją nosi wśród drzew. Tak ta pieśń żołnierska stała się pieśnią ojczystą, poezją najpowszechniejszą całego narodu i każdego w niej człowieka.

Nie ma serca polskiego, nie ma chwili, w której by nie brzmiała dźwiękiem nie kunsztownym, a wyrażającym wszystko i wieku iście ważnym. I nie ma miejsca w naszych dziejach w którym nie było by poezji żołnierskiej. Śpiewali konfederaci barscy zgrzebne pobudki, mieszające przyspiew litanijny z pobrękami szabel. Pulsowała poezją rewolucja polistopadowa, gdy się zaczynała od buntu młodych, gdy się kończyła żałosnym maestosom Polski dawnej. Jakaż jest bliskość tonu w wierszach Goszczyńskiego, pisanych we wrześniu 1831 roku na granicy pruskiej:

„Wysoko pod niebem zórawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach
Bez pieśni, bez grania, w milczących
szli dumach.
Ich dumy żałosne, ich lica w kurzawie
A dokąd wojacy? — pytają zórawie”.

Jak pogłos wraca się dziś wyzwanie powstańców 63-go roku: „Stój, carze, stój, nie ustał bój”. I ciąg tej poezji nieprzerwany poprzez Mączkę, Małaczewskiego, Broniewskiego aż po tych, którzy są dziś wśród nas.

Nie zawsze poezja żołnierska biegła szczytami. Zdarzało się, jak to jest z Romanowskim, że stanowiła bodaj najbardziej pełne osiągnięcie swego czasu. Najczęściej zniżała się do samej ziemi, chwytając się najzwyczajszych wyrazów. O jej przetrwaniu, o jej życiu, nieraz szerszym, powszechniejszym od poezji wielkiej, mistrzowskiej, rozstrzygała inna miara. Bo poezja jest raz to, co przedstawia najdoskonalszy, jedyny kształt wzruszenia i idei, to znowu to, co stanowi ich wyraz najbardziej zwykły i powszechnie zrozumiały. Raz poezja, właśnie mistrzowska, jest świadoma wszystkich mocy swoich, sposobów i uroków, drugi raz, jak ta żołnierska, jest odzwieciem instynktu, niejako organicznym wstrząsem uczucia.

Ale zawsze wielka poezja schylała się do żołnierskiej melodii z pokorną i tklivą czuj-

nością. Była to czujność ta i pokora, gdy Mickiewicz patrzył w gasnące oczy przyjaciela, poety i żołnierza, Stefana Garczynskiego, gdy w swoim ubogim, paryskim pokoju nucił piosenkę o żołnierzu, który idzie „borem, lasem, przymierając głodem czasem”. Znał tę poezję jak nikt Stefan Żeromski i w imieniu tej wielkiej, najwierniejszej z wiernych, ślubował: „Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie

znieważy, żołnierzu. Ona jedna nie zleknie się twoich snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana, ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dni twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon”.

Ale to nie jest napewno najistotniejszy sens poezji żołnierskiej, że między nieskazitelnymi kolumnami wielkiej poezji wmyka się ona, jak łopotliwy głos serca. Poezja żołnierska

JADWIGA CZECHOWICZÓWNA

O ŻOŁNIERZU TULACZU

Kiedy ucichły w dali dźwięki głuche,
Gdy ciepłe kąty domu zszarzały tęsknotą,
Poszedłeś w noc jesienną, w deszcz i zawieruchę
Liści, co miały barwę zetlałą i złotą.

Dziś tkwią jeszcze w pamięci kroki twoje pierwsze
I żegnające, długie spojrzenie z zakrętu,
Żadne ci wtedy w głowie nie szalały wiersze,
Nawet nie pamiętałeś, że dla Sprawy Świętej...

Czułeś tylko, że w domu — tam, gdzie w rzędzie okien
Coś czarną zieje pustką — zostało twe wszystko,
Że w pokoju powoli zasnawa się mrokiem
To co wczoraj, co dzisiaj, co zawsze jest bliskie.

Na ułamek sekundy, jakby spazmem płaczu,
Zaszumiało ci „wrócić” — a potem, asfaltem
Krok twój własny wystukał odpowiedź — inaczej...
Później... Kiedyś... Pod nieba czerniałym kobaltem

W mroku nocy zniknąłeś i w dziejów zamęcie,
Po wszystkich drogach ziemi dudniły twe kroki,
A czasem ci się zdaje, że wciąż na zakręcie
Stoisz jeszcze i patrzysz w niemy rząd twych okien.

WIERZBA

Żal mi cię, wierzbo przydrożna,
Daleką szumiącą pieśnią.
Czemu nie poszłaś w szeregu
Zielonowłosych rówieśnic?

Przez kolorowe gościńce
Czemuś nie poszła z niemi?
Wiosną pozółkły ci liście,
Karmione nędzą twej ziemi.

Patrzysz niezmiennie, uparcie
W horyzont płaski i niemy,
Rozwarłaś ramion gałęzie,
W bezradne, żałosne — „czemu”?

Powieją wiatry nad tobą,
Pożeną złotem listowiem,
Ale nie przyjdzie wraz z niemi
Oczekiwana odpowiedź.

Nie pytaj, wierzbo przydrożna,
Gorycz jest na dnie tej wieści
Większa niż ból twojej ziemi,
Jakże ją w sobie pomieścisz?

Jakże ją w siebie zagarniesz,
Wierzbo samotna, uparta,
Nie pytaj płaczem na wietrze,
Może pro prostu — nie warto.

TADEUSZ SOWICKI

ZWROTNIK WILKOŁAKA

I

Słyszysz? — ja wierzę w duchy, piekła i zodiaki,
W cyrografy po karczmach djabłu podpisane.
Kiedyś mnie wyprowadzą polskie wilkołaki
Na ogniki na bagnach, nocą zapalane.

Inna będzie ta droga, z której nie powrócę.
Inna od tej, po której idę południkiem,
Nic mi nie pozostanie po mądrej nauce
Lat trzydziestu. Zostanę tutaj pod zwrotnikiem.

On tu będzie przebiegał, a może już biegnie
Przez nieszczęścia, przez bitwy i przez konstelacje
Wskazuje mi kierunek gwiazdy niepodległej,
Tej gwiazdy, co wschodziła nad bzy i akacje.

II

Ty — mówisz — nadtragiczne,
Mówisz — przeogromne. —
A znałeś nadliryczne? —
Znałeś karkołomne? —
Przeżyłeś księżycowe,
Groźne, bez ratunku
Miłości, w których człowiek
Gubi się w rachunku.
A rachunek był prosty:
Coś z karykatury,
Coś niby, jak anagram,
Pijany akrostych, —
Trochę baśni, — —
I trochę...
Nocnej awantury
I wrzącego koloru
Niebezpieczna magna.
Z łaski Bies u nas mieszkał
I Dionizos kątem,

Venus przybyła z Milo, —
Przy stole nad piwem
Narodził się poemat:
„Domki kryte gontem” —
W nim mieszkwały dziewczęta,
A wszystkie prawdziwe.
Prawdziwe półspotkania,
Prawdziwe rozstania, —
Prawdziwa twoim ustom
Słodczył marzycielska, — —
O Clio — O rozpustu,
Muzo niszczycielska.

Przyjdź we śnie,
Lub na jawie,
W sukni z mgieł porannych —
Ty zabita w Warszawie
Z gwiazdozbioru Panny.

Jakiego gwiazdozbioru? Panny — mówisz...? — Strzygi,
Wikołaka, Upiara i Luciferosa.
O połóż nam na oczach ręce swe, łodygi
Zimne jak spadająca na krzak róży rosa.

Bo tu jest ład śmiertelny, równoleżnik gromów —
Odkryty przez człowieka amfiteatr wojny, —
Sypie się gont i spada z lirycznego domu.
Przywali nas. — Czas jeszcze. — Bądź o to spokojny.

ma sens swój własny; jej tylko właściwy. Dziś, w wieku wojny totalnej, wojny technicznej, wojny sprzętu i specjalistów ten sens jest bardziej oczywisty, jest może ważniejszy, niż kiedykolwiek. Ta poezja zawsze mówiła, dziś przeciw hukowi motorów o niezmierniej sile, przeciw grzechotowi dział szybkostrzelnych mówi jeszcze głośniejszą, że żołnierz to człowiek, człowiek czujący. Od niego się zaczyna i na nim się kończy ta cała sprawa straszliwa w swojej przemysłowości i grozie.

W taki to sposób przez tę poezję wyjawia się prawda, że żołnierstwo jest to określona postawa wobec rzeczywistości, samoswoja moralność, obyczaj, który trzeba przyjąć, którego dobrowolnie trzeba dotrzymać. Wersety tej moralności czyta się w listach Żółkiewskiego, w uniwersałach Kościuszkii, w instrukcjach, które Traugutt podpisywał, przepatrując już koniec krwawego dzieła, potrząs w oczy śmierci „Żołnierz polski — czytamy gdzieś aż z zawstydzonym wzruszeniem — powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa”. „Rząd Narodowy — brzmia inne jego słowa — patrzy na wojsko nie tylko, jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na stróżów i wykonawców prawa”.

Poezja żołnierska rodzi się z instynktownego odczucia, z tajnego rozeznania idealnej treści imienia: żołnierz. Ponad dławiającą szarość, pospolitą zabłoconą, zszarganą, i spotniałą wulgarność, ponad ludzką straszliwość żołnierskiego zadania — poezja wyrasta, jak znak treści prawdziwej, treści najtajniejszej, najbardziej człowieczej i najbardziej wzniosłej.

Myszę, że i na tej emigracji — której już to z kolei? — poezja żołnierska bezwiednie wypełniała to swoje zadanie. Na naszych oczach usiłowano tu obniżyć sens żołnierstwa. Podejmowano tu zawstydzające próby dowodu, że są, — w czasie wojny o samo gołe istnienie — rzeczy jakoby ważniejsze nad to, abyśmy byli żołnierzami według najwyższego wzorca polskiego. Nie moim zadaniem jest sądzić tę publicystykę. Osądziła ją poezja. Ona to, poezja żołnierska, zaprzeczyła jej samym swoim jawieniem się, samym istnieniem.

Nie tylko w tym jednym staje poezja żołnierska przeciw temu czasowi. Jakby odwołując się do pieśni Legionów, stanowi ona wyraz jedności polskiej. Stoi ona ponad rozdarciami, zadanymi nam przez wroga, ponad przedziałami, kopanymi przez nas samych z niesłabnącą, zjadliwą gorliwością. Zaprzecza ona obiedny i niegodny rozdział, że ten, kto nosi mundur, jest lepszy od tego, co go nie nosi. Tropi, kryjące się w ciemnych zakątkach, tkwiące w starych nawykach, wstydlive a niezrezygnowane zamarzenie, aby ci, co walczyli, rządzący wszystkimi, wszystkim innym narzucali wolę, aby — według wyrażenia, które powinno zostać na wieczną pamiątkę — „trzymali za pysk”. Uczy ona po prostu, że trzymać trzeba nie za ów zelżony „pysk”, ale za serce. Kołysze ona na piersi widzenie doskonalszego życia. Wie bowiem, że daremnie i okrutnie jest umierać nie za lepszy porządek, ale za gorszy lub choćby ten sam, co był.

Myszę, że to wszystko zawiera się w poezji żołnierskiej, bo to wynika z jej organicznej istoty. Myszę także, iż w jakiejś mierze, mnie samemu niewiadomej, da temu świadectwo grupa poetów, którzy dziś przyszli na spotkanie z nami. Przyszli z jakże różnych stron świata, z jakże odmiennych dróg losu, co próbował ich serce twardo, brutalnie, nieraz okrutnie, by ze wszystkich dobrać tony inaczej brzmiające, a zwołujące się w spóźniewieczną jedność.

Z zimnego, sybirskiego piekła przyszła tu między nas Halina Terlecka, urodzona w tym piekle poetka nawskroś przejrystej szczerości. Młodziutki, dwudziestoletni poeta Bogumił Andrzejewski, który w okopach oblężonego Tobruku czytał Biblię i Don Kichota, uczył się na nowo Boga z gwiazd i składał metafory odkrywczej nowości — staje przed nami nie tylko jako żołnierz, ale ktoś, kto popiera naszą wiarę w cywilizację europejską.

Jeszcze dalsza była tu droga Ryszarda Kiersnowskiego, opasała obręczą — przez Sybir, Japonię, Pacyfik, Kanadę — prawie cały glob ziemski. Można myśleć, że ta Odyssea urobiła go do dojrzałości i prostoty, na którą trzeba lat.

Posłańcem z nieba jest Paweł Moskwa, lotnik bojowy, pokazujący w swej poezji urzeczywistnienie człowieka w walce, w przezwyciężaniu żywiołów i własnej słabości.

Marynarska służba Józefa Miłobędzkiego, jednostajny tryb spoczynku i pracy w długich rejsach morskich sprzyjał może wrodzonej wrażliwości moralnej, pozwolił krystalizować się w lirycznej tęsknocie do lepszego, piękniejszego świata.

Spory już dorobek Jana Rostworowskiego pokazuje proces urabiania poety i człowieka przez wojnę i służbę wojenną. W dużych poematach dał on pierwszy obraz lirycznych doświadczeń i materialnych losów żołnierza polskiego na jednym ze szlaków wędrówki, wiodącym z dna klęski przez Francję do Anglii.

Niech teraz mówią oni sami. Stałem tu tylko po to, aby prosić o pozdrowienie dla nich, o czujność, czy według słów poety, z ich pieśni „nowa jasność bije, świeża chęć życia i świeża odwa”.

*) Przemówienie na wieczorze poetów-żołnierzy, zorganizowanym przez PEN-Club Polski, dnia 1.XIII w Ognisku Polskim w Londynie.

BEATA OBERTYŃSKA

PRZEDMOWA DO „FAUSTYNY”*)

Historia twoja nie jest wcale wymyślona. W przedziwny tylko, dla mnie samej niepojęty sposób poznawałam ją strzęp po strzępie, odcinek po odcinku, żywą, barwną, do najdrobniejszych nieraz szczegółów wyraźną, pęki z tych — najczęściej oderwanych — obrazów nie stopiła mi się wreszcie w całość znajomą, a tak bliską już teraz i własną, jak coś naprawdę przeżytego.

Nigdy przedtem niczego podobnego nie doświadczyłam. Pisząc, czułam zawsze zależność wszystkiego, co wymyślałam, od mojej woli i wyboru. Szłam zawsze po pewnej, z góry wytyczonej linii, nakreślonej czasem szczegółowo, często tylko w szerokich, ogólnych zarysach, od których mogłam odstąpić, lub nie, zależnie od własnego uznania i ochoty. Czułam, wiedziałam, że ja panuję nad tym, nie zaś ono nade mną.

Oczywiście, że czasem — często nawet — już w czasie roboty, przekształcało mi się coś w obłok. Nie raz i nie dwa razy musiałam ustąpić, urzeczona nagłym, nieoczekiwanym pomysłem, który się raptem wziął sam z siebie i wyrzwał z pod pisanych słów — gotowy. Nie wiem, skąd się biorą pomysły, wiem jednak, że umiemy je wziąć nagle, bardzo jasne i zupełnie gotowe, jakby przez kogós już przedtem dokładnie przemyślane. To znam, więc wiem, że tak może być. Ale to bywają zazwyczaj szczegóły.

Twoją jednak historię coś opowiedziało mi cała, tak właśnie, bez mnie! Bez żadnej mojej współpracy, bez możliwości kierowania widzianymi wypadkami, bez możliwości narzucenia osobom w grę wchodzącym — już nie tylko uczynków i uczuć — ale mion poprostu, dostałam ją na własność niespodzianie, kiedy po roku więzienia ogarek ołówka i skrzętnie przed rewizjami ukrywany papierek po zażytym proszku, był wszystkim, co by mi służyć mogło do pisania.

I wtedy to właśnie, w te dni posuchy i głodu, zjawiła mi się pierwszy raz i urzekała mnie i oczarowała, jak ze zjawionych mi dotąd postaci — żadna!

Tak dobrze pamiętam chwilę, kiedy się to zaczęło.

Leżałam w trzeciej celi, na górnej kondygnacji przy naszych w Starobielsku. Zwykle, znajomy, niemilkący ani na chwilę gwar był znów ciszą wokół mnie. Od roku nie miało się książek w ręce. Całkowicie wyjałowienie umysłu. Pustka w głowie. Myśl, odwykła od skupienia, wymieniona na „drobne”, od roku objęła się w tej pustce, nigdzie nie mogąc się zahaczyć. Opowiedziałyśmy już sobie wzajemnie wszystkie pamiętane powieści, nowele, filmy, zdarzenia i plotki. Od wspomnień nawykło się pamięć odganiać, systematycznie, celowo. Rozklejały tylko i osłabiały człowieka, robiąc go mniej odpornym. Były czymś nad stan, na co nie wolno było sobie pozwolić. Przyszłości nie roztrząsało się nigdy, chyba na długość dnia powszedniego, który „zaiste dość miał na swojej nędzy”.

Leżałam więc na wznak z zamkniętymi oczyma, mając pod powiekami znajomą, puszystą ciemność. Wiedziałam z doświadczenia, że kiedy zaczynałam wymyślać czy pisać, ciemność ta umiała mi się nagle przetrzeć, rozjaśnić i że wtedy — na małej, jakby jasno oświetlonej scenie — jawili mi się ludzie, wnętrza, krajobrazy, sceny i zdarzenia, zależnie od planu pisanej rzeczy.

Przypominanie sobie — odbywało się inaczej. Nie było wtedy scenki, tylko całą głębią głowy zalegał przywołany pamięcią obraz, bardziej mglisty od wymyślanego, mniej uchwytny i cofający się jakby pod dotknięciem natężonej uwagi. Najwyraźniejszy był zawsze w momencie zjawienia się. Potem mętniał, zwałszcza, gdy uprzytomniłam sobie, że o nim myślę, że przypominam sobie, że chcę coś w pamięci zobaczyć.

Otóż wtedy, leżąc na wznak na mojej przyczce, pomyślałam sobie, czy nie mogłabym — nie pisać — zobaczyć czegoś na tamtej „scenie od wymyślań”, ale tym razem czegoś, czym jako autor, reżyser i inspicjent w jednej osobie nie kierowała by moja wola, tylko czegoś, co samo chce mi się pokazać, bez żadnego planu, żadnej dyspozycji, żadnego założenia? Poprostu zapragnęłam nagle, w przystępie niecierpliwego głodu, zobaczyć wreszcie znów coś ładnego, kolorowego, poznać nowych ludzi, nowe kąty, nowe otaczało, być raz nareszcie — gdzie indziej — daleko od samej siebie, daleko od tego czasu i tej przestrzeni, w której mokłam nieruchomo i martwo, od nieskończenie długich miesięcy.

Gwar, otaczający mnie od switu do nocy, był, jak mówiłam, znów ciszą. Pod powiekami pulsowała mi puszysta ciemność, coś, czego ani pokazać, ani opowiedzieć niepodobna. To jakieś tajemnicze, najwłasniejsze „chez soi”, którym jest wnętrze własnej głowy, oglądane zamkniętymi oczami.

I pamiętam jeszcze, że czekałam. Nie wiedziałam, jak to będzie, jak się stanie i czy się stanie w ogóle, czułam jednak, że jakiś prąd został włączony, że jakiś mechanizm za-

czyna działać. Tak jak w kinie, kiedy zgasną światła, kiedy ekran jest jeszcze pusty, ale słychać już szelest projekcyjnego aparatu.

I wtedy — nagle — nie na małej scenie „od wymyślań”, ale całą powierzchnią wnętrza głowy — zobaczyłam przed sobą słoneczny obraz rozległej, wysokiej trawą zarosłej polanki.

Od pierwszej chwili wiedziałam, że wokół tej polanki zastygł ciemnym pierścieniem duży park, a wiedziałam o tym albo dzięki granatowej ścianie pod światło widzianych lip po prawej, albo dzięki stożkowi siwej sawiny w głębi, albo dlatego wreszcie, że gdzieś, kiedyś, w moim życiu, był taki park i taka właśnie trawą zarosła łączka pod lipami. Może dlatego uczulałam nagle, że wiem, że tam na prawo, za cienistą aleją lip, sunie bezzwrotnie ciemnym tunelem czeremszyn, leszczyn i olch woda młynówki, ciemna i zielona jak butelkowa szkła. Tak! To było tam... i zupełnie gdzie indziej. Coś, jakby te same kąty, ale oglądane albo wiele, wiele lat przede mną, albo wiele, wiele lat po mnie... Jakies obce „kiedys” wisi tu w powietrzu, „kiedys”, którego nie umiałabym niczym określić, ani uzasadnić, ani wytłumaczyć.

Na polance jest w tej chwili samo południe i nikogo więcej.

Trawa, którą widzę dokładnie i z bliska, kwitnie bujnie i pośpiesznie, jak zwykle, tuż przed koszeniem. W jej żółto-zielonej toni pstrzy się zatrzęsienie kwiatów bezimiennych, głupich, gramolących się ku górze z uporem biedronki, kwiatów dzwigiących z wyteżeniem ku słońcu szczyptę barwy i różnorodną naiwność kształtu — wszystko — na co je stać w tym bezzwrotnym zgiełku istnienia, w tym tłumnym, nieruchomym wysięgu ku własnej zagładzie. Głupie, bezimienne kwiatki, jedne z tych, co to razem z biedronkami obsiadły rojem korecką porcelaną i w szklawie jej zastygłe, znalazły wreszcie rodzaj trwania.

Oto dzika naparstnica waży się ku ziemi, obciążona szeregiem wydłużonych, coraz większych ku dołowi łodygi, kwiatów. Znam jej imię i wiem, że tai w sobie lekarstwo i truciznę. Jest mocno kremowa, a głaz ryjowato wydłużonych paszcz ciemnieje od większych i mniejszych, amarantowych płam, jak podbrzusze niektórych jadowitych węży.

Patrzę uważnie na ten żyły i dobry kwiat i dziwię się, czemu mi się pokazał z tak bliska i z takim naciskiem?

Jest zupełny bezruch w powietrzu i cisza. Jedynie białawe motyle wybijają się sennie ponad trawę tu i tam i tuż obok mnie, wznoszą się i opadają, opadają i wznoszą, by paść wreszcie na jakieś ziele kwitnące i wisieć mu chwilę na ustach, pulsując sztywnymi skrzydłami.

Wtem słyszę powolny szelest żdźbeł za sobą. Ktoś zachodzi mnie od tyłu, szycząc szeroką smugą kłoniących traw. Tak samo szeleści łódź, gdy roztrąca stojącą wodę. Na ziółta kwitnące, tuż obok mnie, pada czyjs cień i nieruchomieje. Obracam głowę i pierwsze, co uczułam, to brak tchu.

Stoi przede mną prosta, plecami odwrócona od słońca i patrzy.

Ma suknię koloru dzikiej naparstnicy, szerokim dzwonem krynoliny rozdętą na trawie. Ręce opuściła wzdłuż falban i patrzy tak z pod czoła wyczekująco, porozumiewawczo jakby... Patrzy jak ktoś wezwany i ktoś, kto zrobił tę łaskę, że przyszedł i kto zrobił tę łaskę, że jest...

Tak! Taka piękność jest łaską! Słowa stają się nagle bezsilne i nieporadne. Ta, która tu stoi przede mną, jest uosobieniem najdoskonalszego piękna, bez skazy i plamy. Wiedzę nie wie o tym, bo widzę, że usta jej drgnęły uśmiechem, a poważne dotąd oczy napływają wyrazem nieuchwytnym — nie wiem — ironii może?

Milczę i ona się nie odzywa. Uświadamiam sobie nagle, że tak jak mi się zjawiała, może każdej chwili zniknąć, więc zapczywie i uważnie zaczynam się jej uczyć na pamięć.

Twarz ma matową, nie białą i nie smagłą, tylko złotawą jak słońcowa kość, bez śladu rumienia, twarz o dobroczynnie gładkim owalu. Brwi, czystymi łukami na czole nakopcone, niosą — parę oczu lśniących, wspaniałych, a wydłużonych ku skroniom jak dwa czarne migdały. Nos ma cienki, o delikatnych płatkach nozdrzy, a kruchy, jak z kremowej porcelany... A teraz patrzę na jej usta i zdaje mi się, że nie będę umiała niczego o nich opowiedzieć. Cóż można powiedzieć o takich ustach? Są różowe, dosłownie tak różowe jak łodyga szuwaru — sam koniec tej łodygi — świeży zawsze i pachnący wiosną, świętem i młodością. Na tle matowo-złotawej twarzy leżą w tej chwili spokojne i ciche, stulone gładkimi wargami, jak dwa podłużne płatki nieznanego kwiatu.

Patrzę i patrzę i oczu oderwać nie mogę! Słońce opisuje ostro złotym konturem linię jej ramion i szyi — szyi, przekreślonej wąską, amarantową aksamitką. Głowę ma małą, wysoko sklepioną. Rozgarnięte białym rozdziałkiem włosy dwoma skrzydłami okalają policzki, podwijają się pod uszy i wracają do siebie wysoko nad karkiem. Mają w gładkości swojej czerni i szklawo płynnej smoły, coś, w czym zatraciły się już poszczególne włosy, a została tylko substancja jakaś niewiadoma, o wytłukających metalicznie powierzchniach.

To wszystko.

Ale to jest zupełnie — nie! Urody tej nie można ująć w słowa. Można ją tylko wetchnąć, jak woń — i być szczęśliwym!

Nie wiem o niej niczego. Nie przypominam mi nikogo. Wiek jej też nie umiałabym określić. Może mieć dziewiętnaście i trzydzieści lat. Są czasem takie urody, w których od najwcześniejszych wiosen jest kobiecość bez dziewczęcości. Oto jedna z nich.

Patrzę i jestem szczęśliwa. Jakby dla wynagrodzenia oczom wszystkim ohydy, której się w czasie tego roku napiły do syta, pokazała mi się ona — taka właśnie — i trwa przede mną i raczej nie znikną.

Opada mnie nagle ciekawość: jak jej na imię? rzecze musi mieć jakieś imię! Chcę je poznać koniecznie, by wiedzieć, jak ją myśli moje zrywają mają, gdy odejdzie. Nie pytam, bo lękam się ją spłoszyć, ale czuję, że będę wiedziała. Muszę wiedzieć!

I czekam. Ona też jakby jeszcze na coś czekała...

Wszystko jest martwe wokół nas. Najlepiej powiew nie trąca traw, ani liści granatowych pod słońce lip, na których tle ją widzę.

Jedynie sennie, wahające motyle plamią rozległą słoneczność przestrzeni nad trawami. Wiem, że imię jakieś tak samo waży się w słońcu na powietrzu, że jest już zupełnie blisko, tylko go jeszcze nie widzę. Czuję, że dyszy skrzydłami, wznosi się i zniża, że wisi tuż nad jej głową — aż wreszcie — siada na niej, jak motyl na kwitnącym ziele — i wtedy już wiem!

Faustyna jej na imię.

To było pierwsze nasze spotkanie.

Nie wiem, co ją spłoszyło. Czy zgasiła sama, czy ktoś się do mnie odezwał? Nie pamiętam...

Wiem tylko jedno: od tego dnia miałam się po co budzić i miałam się z czego cieszyć, i miałam na co czekać, i miałam o czym myśleć.

Jakże chętnie uciekałam pod własne powieki, jakże często, godzinami, wyciekałam cierpliwie, aby się znów coś takiego zdarzyło, aby się ciemność własnej głowy otworzyła znów, w świat tak najwłaśniejszy mój i tak dla mnie rzeczywisty!

Przyznaję, że mnie Faustyna urzekała! Z początku zwłaszcza, nim się z jej urodą oswoiłam, chodziłam jak zaczadzona. Teskniłam za nią. Cieszyłam się, że jest, że wróci, że mi się znów pokaże. A kiedy jej nie było, — ani czasem wiedząc, że to robię — szukałam kogoś, koby mi ją przypominał.

Pamiętam, że podczas obrzędowego spaceru po słonecznej patelni podwórza, między więziennymi barakami, kiedy na rozprażonym piasku krążyło sennie paręset kobiet różnych narodowości i ras, — szukałam wśród nich bezwiednie czegoś z Faustyny. Jej oczu, jej brwi, jej ust, jej owalu, jej włosów, jak zakochany.

Cieszyłam się, że przyjdzie wieczór i noc — a z nią względny spokój w celi — że będę mogła się skupić i uciec znów w głębi głowy, co rzadko we dnie było możliwe. Zamykałam oczy i czekałam, szczęśliwa, że mam na co czekać, że nigdy nie wiem, co dziś zobaczę, ani tego: co dalej?

Z początku — z samego początku zwłaszcza — niejednemu nie mogłam powiazać. Obrazy bowiem nie ukazywały mi się w chronologicznym porządku, tylko na wyrwyki i okruciami. Często nie wiedziałam, co do czego należy i co działo się wcześniej, co później. Najłatwiej jeszcze było mi się orientować po sukniach Faustyny, jeśli znałam je już z któregoś z poprzednio widzianych fragmentów.

Podobnie jakoś, z poszczególnych odcinków, montuje się pono nakręcony już film. Tylko tam, każdy odcinek ma swój numer porządkowy, co ułatwia orientację. Ja miałam do pomocy kolory krynolin, czasem porę roku, czasem jakieś znajome już wnętrza. Wiedziałam też — zwłaszcza zdarzało się to z początku — pewne sceny, nie znając jeszcze wszystkich osób w grę wchodzących, nie wiedziałam, kim są i co je łączy. Trzecim — a bodajże drugim — obrazem, który mi się pokazał, był ten, który powinien być być ostatni. Zobaczyłam finał! Nie wiedziałam dlaczego dzieje się to co się działo...

Rotem dopiero, gdy powoli, z poszczególnych rozdziałów skleja mi się w oczach całość — zrozumiałam i ten ostatni, Faustyno!

Poznanie twojej historii trwało mniej więcej od maja do grudnia, a dlatego trwało tak długo, bo — po pierwsze — nie było to w zupełności ode mnie zależne, — po wtóre — tak jak mówiłam, wszystko lepiło mi się z oderwanych dłuższych, lub krótszych fragmentów, a czasem tylko z takich nieruchomych chwil, jak ta pierwsza, kiedy się coś w tym projekcyjnym aparacie zacinęło jakby, kiedy obraz przestawał się poruszać i trzeba było czasem czekać dnie i tygodnie na nowy okruh.

Jakkolwiek znam już dziś dzieje Faustyny tak prawie, jak ona sama, są rzeczy, których nie dowiedziałam się wcale. Znałam na przykład kolor obić ścian w jej przyszłej sypialni w Łukach, ale nazwiska jej narzeczonego nie poznałam do dziś. Na imię mu było Hieronim.

Nigdy też nie pokazano mi marszałkowej, choć po jej domu i ogrodzie błąkałam się bez jej wiedzy i pozwolenia całymi miesiącami. Wiedziałam tylko, że Faustyna jest bratanicą

jej drugiego męża i że po ruinie i nagłej śmierci jej ojca — to jest mniej więcej półtora roku temu — świetną, piękną a samotną pannę wzięła marszałkowa do siebie. Od śmierci marszałka stale niedomagająca, nie miała przy sobie nikogo bliskiego, więc zaręczona już wówczas Faustyna, aż do wesela, które tu miało się odbyć, zgodziła się zamieszkać przy stryjenie.

To więc byłoby wszystko, co chciałam powiedzieć przed opisem zdarzeń, których byłam niemy, przez nikogo niezauważonym świadkiem, w ciągu tych zaczarowanych, dziwnych miesięcy.

Zauważyłam w czasie poznawania dziejów Faustyny pewną rzecz, związaną z samą formą tego poznawania, coś, co ją w zupełności odróżniało od sposobu, w jaki widywałam na owej małej scenie wymyślone historie.

Otóż w przeciwieństwie do tego wymyślania, podczas którego byłam dosłownie widzem, patrzącym jakby z ciemnej widowni, a zjawiający mi się ludzie — pomniejszonymi do wielkości marionetek — aktorami, tu oni wszyscy byli naturalnej wielkości, a ja nie byłam widzem, tylko płaczącym się między nimi, niezauważonym przez nikogo intruzem i przybłędą.

Mimo tego jednak, że byłam tak blisko nich — wśród nich poprostu — w ciągu trwania całej historii nie słyszałam od nich ani słowa! Wiedziałam, że mówią. Znałam intonację głosów, ale nie słyszałam żadnych słów. I to właśnie będzie najtrudniejsze do odtworzenia: ten dialog, toczący się bez jednego słowa, a porywam się na to dlatego tylko, bo chciałam tak wszystko napisać, jak było naprawdę.

I jeszcze jedna uwaga — już ostatnia.

Zauważyłam, że ów tkający bez mego współudziału warsztat wciągał i wplatał w osnowę różne nitki z otaczającej mnie wtedy rzeczywistości, tak właśnie, jak sen umie czasem wpleść i przetworzyć po swojemu skrawki wessanej przezeń jawy. Chciałabym więc podać uczciwie pewne szczegóły, które, sama nie wiem jak i kiedy — Bóg to wie — dostały się w tamte odległe dzieje i które przekształcone, lub zmienione w coś zgoła innego — nie bez zdumienia — poznawałam potem sama w oglądaniu na własne oczy historii twojej, Faustyno.

Więc przede wszystkim, tłem każdej prawie chwili, którą widziałam, był pewien piękny, stary, płynący wodą podpasany park — którego nigdy nie kochałam, — i pewien duży, rozłożysty dom, który nigdy nie był moim domem — choć mógł... Tak park jak dwór były jednak zupełnie przekształcone, te, a przecie inne. Podobnie widuje się znajome miejsca w męczącym śnie.

Potem były słowa: „pawilon ogrodowy”, które padły wtedy w mym pobliżu, w opowiedzianej przez Danusie historii o jakimś opuszczonym parku i takim zarosniętym pawilonie, w którym nikt nie mieszkał. I pamiętam, że te słowa — nie sama historia, bo jej treści nie przypominam sobie nawet — podzielały jakos wyjątkowo silnie na moją wyobraźnię. Znałam je potem w myśli, bezmyślnie, jak to się czasem rozgryza i żuje igły świerka, dla samego ich pachnącego smaku.

Potem był taki jeden sgk w sosnowej desce, sgk, który nad mrocznym, przepaścistym wnętrzem pełnącej Pieczorą na północ barzy rozjarzył się raz pod słońce rubinem przeswietlonej w nim żywicy, nieczym zatajoną, a objawioną nagle krwią.

Potem była jeszcze bluzka Heleny — strzęp bluzki — w szeroką, błękitną kratę na białym tle. Nie wiem, czemu błękit tej kraty i śliski jedwab materii miał dla mnie urok zupełnie wyjątkowy. W zasadzie nie lubię niebieskiego koloru, a przecie bluzka ta, mimo spełnić, sprania, łąt i strzępów, czarowała mnie zawsze tak samo i zawsze na jej widok stawała mi w oczach epoka krynolin, peruwiańskiego olejku, lawendy, mienek i czarnych, rypsovych, wizerających z pod falban, trzewików...

I taką jeszcze jedną czerwcową zlewę w Starobielsku pamiętam, kiedy noc poprostu tchu zapać nie mogła, zaskoczona zniecka jej srebrzystym w błyskawicach ciężarem, kiedy drzewa za okratowanym oknem szumiały jak wodospady, i cudny chród powiał nagle w duszną, śpiącymi kobietami zawałoną celę...

A potem, w czasie jednego transportu w ciemnym, bydlęcym wagonie — pamiętam — kiedy leżąc na ziemi, z ustami przy szparze zaplombowanych drzwi, by chwycić tyk świeższego, nieuchannego powietrza, by uciec oczyma od ohydy osiemdziesięciu rozebranych, spoconych, zawieszonych i wrzeszczących kobiet — zaleciał mnie zapach waleriany — zwykłych, koźkowych kropli, które postawiono za moim tobożkiem, aby ich kto nie ukradł, czy nie wylał.

Nigdy w życiu tej waleriany nie zapamiętam, ani szczęścia, z jakim wdychałam chwiei jej zapach... W kroplach tych bowiem — do dziś nie wiem czemu — przysniła mi się woń brzoskwin i herbacianych róż! Nigdy, ani przedtem, ani potem, żadna waleriana nie przypominała mi róży czy brzoskwini. Ta jednak, wtedy, musiała coś takiego mieć, bo ob-raz, który opowiedział mi się w tym upiornym transporcie — miał smak brzoskwini i pachniał różami...

Tym razem to już wszystko...

*) „Faustyna” Beaty Obertyńskiej, przedmowa do której drukujemy tu w postaci nieco skróconej, ukazuje się równocześnie w wydaniu książkowym nakładem wydawnictwa „W Drodze”.

JAN JANUSZ

Gdzie woda zamieniła się w wino

Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

Szwajcaria, w listopadzie 1942.

Pociąg z Lozanny na Vevey i Montreux biegnie między gęsto rozrzuconymi osiedlami. Krajobraz przypomina nieco Riwierę francuską, oglądaną z okien wagonów na odcinkach, gdzie kolej zbliża się do lazurowego wybrzeża. Nie ma tylko palm, tak typowych dla tamtego krajobrazu. Poprzez korony bogatej flory środkowoeuropejskiej, między kasztanami, lipami, topolami, klonami, świerkami i sosnami, między domkami i pałacami mijanych osiedli, poza kąpieliskami i przystaniami, rozposciera się podobna lazurowa tafla jeziora Lemańskiego. Lazur jeziora nie zlewa się jednak z błękitem nieba. Po drugiej stronie wysokie wzgórza, u których podnóży przycupnęło kąpielisko Evian. To już brzeg francuski.

Za Montreux i Villeneuve pociąg wbiega między wysokie, malownicze pasma alpejskie. Z lewej strony pna się stromo góry, gęsto zalesione, okryte szatą bogatej zieleni, z której wyłaniają się pojedyncze domki, osiedla i winnice. Z prawej strony góry są niebieskie; ich ostre szczyty i granie, udekorowane białymi żyłkami leżących gdzieś niedługo śniegów, odcinają się ostro na tle jasnego nieba. Jesteśmy w dolinie Rodanu, który w tym miejscu wpada do jeziora Lemańskiego. Dolina jest tu jeszcze dość szeroka, ale o 15 km na południe, przy St. Maurice zweża się do jakichś 1,5—2 km i biegnie później między fantastycznymi masywami najpiękniejszej partii Alp. Porały przeszły w Wysokie Alpy, strzelające ku niebu stromymi szczytami Dents du Midi, po lewej, i Dent de Morcles po prawej stronie Rodanu. Między tymi szczytami znajduje się właściwe wejście do jednego z najpiękniejszych krajów Szwajcarii — Kantonu Valais, rozciągającego się wzdłuż doliny górnego Rodanu od St. Maurice na zachód do przełęczy Furka na wschód.

Jest to jakby kraj zamknięty sam w sobie, zaryglowany ze wszystkich stron. Dalekośne armaty w fortyfikacjach górskich strzegą obu wejść do St. Maurice i od przełęczy Furka. Od północy obramowuje dolinę łańcuch wysokich Alp Vaudaiskich, które od Dent de Morcles przechodzą w wiecznie okryte śniegiem szczyty Diablerets, Wildhorn, Wildstrubel, Balmhorn, i dalej — na zachód — od przełęczy Lötschen, w szerokie pasmo najwyższych gór krystalicznych o sławnych nazwach Bietschhorn, Breithorn, Aletschhorn, Jungfrau, Mönch. Łańcuch gór podnosi się tu i rozszerza, stwarzając formacje wielkich lodowców, jak Fiesch i Aletsch, największych w Alpach i dochodzących do 25 km długości. Od południa zamyka dolinę łańcuch Alp południowych, Penińskich, ciągnących się od Salvan do przełęczy Furka. W tym łańcuchu wielki, leżący na ziemi francuskiej masyw Mt. Blanc przechodzi w szwajcarskie szczyty Grand Combin, Mt. Colon, Dent Blanche, Weisshorn, rozgałęziając się bardziej na południe w potężne masywy Matterhornu i Monte Rosa (4.638), najwyższy szczyt Alp szwajcarskich.

Trudno było marzyć o piękniejszej koronie szczytów górskich, otaczających kanton Valais i dolinę Rodanu. Biegająca tuż koło żyzna rzeki linia kolejowa wije się tak, że często pozwala dojrzeć z okna wagonu malownicze góry, leżące po obu jej stronach; lewe są ciemniejsze, zielone — to przedmurze wysokich szczytów Alp północnych; prawe białe w ocy fioletem i ultramaryną z tymi białymi żyłkami śniegów, srebrnymi kaskadami potoków, spadających gdzieś z niebiosięwnych wysokości, bądź z żółtymi zygzakami wąwozów, którymi biegają górskie drożki. Unoszące się wysoko mgły przysłaniają gdzieś niedługo jakieś partie gór, a słońce rozjaśniające niektóre płaszczyzny, tym mocniej podkreśla cienie w załamaniach potężnych grzbietów.

Zniżając wzrok ku dolinie, oko przesłizgnie się od czasu do czasu po starych wieżach fortyfikacji i zameczków, wzniesionych na najbliższych wzgórzach doliny. Najniższe zbocza okrywają niezliczone winnice, a na samym dole, po obu stronach Rodanu, ścielą się osiedla, pola i ogrody. Takim jest w pobliżu opisane zewnętrzny kanton Valais — 150 km długi, 60 km szeroki i stanowiący ze swymi 5.200 km², jedną ósmą całej Szwajcarii. Wszystko jest w nim wielkie, dziwne, czasem dziwaczne i interesujące, piękne. „Nigdzie, — pisze o tym kraju H. Schmid — nie można się tak dobrze odzwyczaić od drobnostek, jak w Valais. Dlatego ten kraj stał mi się tak drogi“).

Porozrzućmy od dwóch lat po całej Szwajcarii obozy internowanych żołnierzy polskich zawędrowały również do doliny Rodanu. Zawędrowały tu jednak nie w celach turystycznych, nie dla podziwiania piękna górskiego krajobrazu i grzania się w słońcu, które prąży tu mocniej niż w innych kantonach Szwajcarii. To prawda, że grzeją się w słońcu, ale grzeją się przy pracy, która ręsiwym potem pokrywa plecy i czoła. Tylko ten, kto przeszedł kiedykolwiek przez długotrwałe obozy internowania, może zrozumieć, czym na internowaniu jest praca. Praca!

Ucieczka przed szarpającą nerwy bezczynnością. Wróg gorzkich myśli i przyjacieli zapomnienia o tym, co boli. A boli wszystko: i utrata kraju, i los rodzin, i niemożność pomśczenia śmierci najbliższych. Więc choć niechętnie ręce oddały karabin i armaty przy przekraczaniu granicy, chętnie chwytają teraz za kilof, łopate czy pług, aby pracą skrócić męczące dni oczekiwania. Praca, choćby najcięższa — aby była. A w Valais praca nie jest łatwa. Wszystko w tym kantonie graniczy z bajkami, ale za tymi bajkami ukrywa się nieprawdopodobny wprost trud człowieka, trud, który uzupełnia dziś żołnierz polski.

Dolina Rodanu jest krajem, który ma razem za mała i za dużo wody. Szwajcarski „ogród słoneczny“ — kanton Tessimo — ma kilkakrotnie więcej opadów deszczowych niż dolina Rodanu, a przy tym Rodan wypływa co minutę około 40 milionów litrów wody do jeziora Genewskiego. Dzisiaj raz szare, mętne, to znów jasne, przejrzyste wody Rodanu, jak zwykle w rzecze górskiej, toczą się posłuszne woli człowieka. Ale jeszcze przed kilkudziesięciu laty było inaczej. Rodan, nazywany w dawnych czasach „Rotten“, szalał bezkarnie po całej dolinie, zalewając ją niemal doszczętnie. Zaczęło się więc od walki człowieka z tym szaleńcem i nie co innego, jak właśnie szukanie sprzymierzeńców w tej walce, zdecydowało o przyłączeniu się w r. 1815 kantonu Valais do Federacji Szwajcarskiej.

Rodanowi wydzierano ziemię cal po calu, przede wszystkim przez amputowanie mu wieloramiennych dopływów górskich potoków, które to dopływy ujmowano w boczne kanały. Dziesiątki lat trwała ta walka, która wydaje się dziś zgoła czymś fantastycznym. Małe żyłki wodne w wysokich górach chwytały w tunele i akwadukty, nie cofając się nawet przed takimi wysokościami, jak 2.200 metrów. Zebrały w ten sposób strumienie odprowadzono do kanałów, budując w ten sposób cały system nawadniania doliny i napedu, leżących u podnóża gór zakładów wodno-elektrycznych. Bez tego cała dolina byłaby do dziś dnia tylko pustyń. Jednocześnie z tą pracą Rodan stawał się coraz bardziej potulny, chudł z braku odcinanych mu dopływów wody i ustępował z ziemi, po którą sięgały z kolei ręce biednej ludności. Ale przez długi czas wybuchał szaleńczym gniewem. Jeszcze w r. 1860 równina od Riddes do Sierre znajdowała się pod wodą, podobnie jak równina od Leuk do Brig. Miliony franków wydał Kanton i Związek na tę walkę z przyrodą, a wszystko to nie przeszkodziło, że jeszcze w r. 1934 Rodan zalał pierwszorzędną szkołę rolniczą w Chateaufauf.

Kronika polska

— Towarzystwo Studiów Irańskich w Teheranie wydało z zasilku Funduszu Kultury Narodowej oraz Ministerstwa Informacji i Dokumentacji tom pierwszy „Studiów Irańskich“. Na tom składają się: prof. Stanisława Kościakowskiego „Stowo wstępne“, Antoniego Dudryka-Darlewskiego „Geografia Iranu“, Bronisława Minca „Stosunki gospodarcze dzisiejszego Iranu“ i prof. Wiktora Sukienickiego „Iran w polityce światowej“. Wszystkie studia zaopatrzone w streszczenia w języku francuskim.

— Pod redakcją dra Łukasza Kurdybachy Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Jerozolimie rozpoczął wydawanie Szkolnej Biblioteczki na Bliskim Wschodzie. Ukazały się dotychczas trzy pierwsze tomiki Biblioteczki: „Zemsta“ Fredry w opracowaniu prof. Eugeniusza Kucharskiego, „Treny“ Kochanowskiego w opracowaniu dra Wiktora Weintrauba i „Powrót posła“ Niemcewicza w opracowaniu prof. Stanisława Kota.

— Nakładem wydawnictwa Ruwin Mass w Jerozolimie ukazała się książka Antoniego Krzewiny „Tomorrow in Germany“.

— „Nowa Polska“ w Londynie wydała tom dziewiętnasty szkiców Marii Kuncewiczowej „Klucze“.

— Wacław Solski wydał własnym nakładem w Londynie cykl dwunastu opowiadań „Przy świetle księżyca“.

— Książnica Polska w Glasgow przedrukowała I. Kaczora „Słownik polsko-czeski i czesko-polski“. Obie części obszernego słownika — w sumie obejmują one ponad tysiąc szpalt — poprzedzają uwagi o wymowie i systemach gramatycznych w obu językach.

— Grupa członków Stronnictwa Ludowego w Londynie wydała broszurę Jerzego Kuncewicza „Na własnych drogach“.

— Nakładem A. R. Fostera w Londynie ukazała się Petera Jordana broszura propagandowa, poświęcona Polsce, p. t. „First to Fight“. Książkę, ilustrowaną rysunkami autora i W. Machana, poprzedziła przedmowa członek Izby Gmin, kpt. L. D. Gammans.

— Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Jerozolimie wydał Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego podręcznik do nauki języka polskiego dla III klasy gimnazjalnej „Mówią wieki“.

— W Szanghaju ukazał się w b. r. nakładem Tadeusza Koszyńskiego tom „wierszy wybranych“ z lat 1906 — 1942 Józefa Marcinkowskiego p. t. „Kwiat paproci“.

— Anatol Stern wydał w Tel-Awivie „poemat sceniczny na tle pomysłu C. F. Ramuza“ p. t. „Historia o żołnierzu i diable“.

— Książnica Polska w Glasgow wydała w przekładzie Janusza Grodzickiego książkę Sir Archibalda Hurda p. t. „Walka o morza“.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa „Minnerva“ ukazała się w angielskim przekładzie F. B. Czarnomskiego sztuka Mariana Hemara „Poor Man's Miracle“ („Cud biednych ludzi“), w oryginalnym polskim drukowana w zeszytach londyńskiej „Nowej Polski“.

dowała się pod wodą, podobnie jak równina od Leuk do Brig. Miliony franków wydał Kanton i Związek na tę walkę z przyrodą, a wszystko to nie przeszkodziło, że jeszcze w r. 1934 Rodan zalał pierwszorzędną szkołę rolniczą w Chateaufauf.

Człowiek wygrał tę walkę. Mało kto zdaje sobie dziś sprawę, pijąc doskonałe wino w Valais, że powstały one... z wody. Liczne winnice wyrosły od 1860 r. tam, gdzie dawniej była woda, a krzewy winne rosną tylko dzięki temu, że ujarzmiono Rodan, a przez ujęcie potoków górskich w kanały moźolną pracę, stworzono system nawadniania plantacji. Czterdzieści milionów litrów wody na minutę wrzuca Rodan do jeziora Genewskiego, a około 25 milionów litrów wina rocznie dają winnice uwolnionej od szaleństwa Rodanu doliny. Bieda stała się bogactwem Valais.

Bieda polska tworzy dziś w Valais nowe bogactwo.

— Zostawimy tu Szwajcarii kupę roboty — mówi mi spotkany w Candolinie kapral Antoni O., z pochodzenia Ślązak, urodzony w Chropaczowie, pow. Świętochłowicki. Przed wojną wyjechał do Belgii, gdzie pracował 9 lat w kopalni „Carabinier“ i „Gonffre“ okręgu Charleroi. W końcu 1939 r. zgłosił się do armii polskiej we Francji i otrzymał przydział do plutonu pionierów kompanii dowodzenia 4 Warszawskiego Pułku Strzelców Pieszych. Po kampanii wojennej we Francji przeszedł ze swym oddziałem w dn. 19 czerwca 1940 r. granicę szwajcarską, był internowany w Lützel-fluh w kantonie Berneńskim, gdzie pracował u chłopów, stamtąd przeszedł ze swym oddziałem do Waldstadu, budując przez 8 miesięcy strzelnicę. W połowie 1941 r. przerzucono go na drugi koniec Szwajcarii, do Chur. Znowu praca przy poprawianiu strzelnicy, później robota przy budowie drogi w Ausserglas; 26 października 1941 r. trafił do doliny Rodanu, pracując początkowo w kopalni rudy żelaznej w Mont Chemin, później przy karczunku w Granges, aż wreszcie osiadł na stałe w obozie Chandolin i pracuje w kopalni węgla.

Takich O., internowanych żołnierzy polskich, nowoczesnych cyganów, przerzucanych z obozu do obozu, z pracy do pracy, jest już w kantonie Valais około 1000. Przybywa ich tu coraz więcej, gdyż tworzą się ciągle nowe obozy. Valais potrzebuje robotników, potrzebuje mocnych, krzepkich rąk, zdolnych do dalszego wydzierania skałom i ziemi ukrytych w nich bogactw naturalnych. Szwajcaria, kraj o niedoborze środków spożywczych i surowców przemysłowych, odcity w czasie wojny od importu zagranicznego, walczy dziś z trudem o uzupełnienie swych braków we własnym zakresie. Każdy skrawek dostępnych gruntów i nieużytków rolnych zdobywa się pod uprawę. Kilof górniczy sięga do wszelkich dostępnych złóż minerałów, nawet takich, których normalnie nie opłacało się eksploatować przed wojną.

W tej ciężkiej walce, walce o życie, wraz z całą ludnością szwajcarską biorą udział internowani w Szwajcarii żołnierze Drugiej Dywizji polskiej. W kantonie Valais zorganizowano już 8 obozów pracy, które dzielą się na dwie grupy zasadnicze. Pierwsza grupa, to obozy w Illarsaz, Granges, Saillon, Chateaufauf i Crans sur Sierre, zatrudnione przy karczunku, urządzaniu gruntu pod uprawę kartofli i jarzyn oraz sadzeniu jarzyn, druga — obozy pracujące na rzecz prywatnych firm przemysłowych, a więc przy eksploatacji węgla w kopalni w Chandolinie, rudy żelaznej w Mont Chemin i budowie górskiego zbiornika wodnego w Turmann Illsee. Są to wszystkie obozy nowe, ujęte niedawno w odrębny sektor i powstałe z różnych drobnych oddziałów wojskowych, skierowanych tu do pracy. Nie są jeszcze całkowicie zorganizowane i nie są też typowymi polskimi obozami na internowaniu w Szwajcarii; to zestawienie należy poczynić przy omawianiu ich pracy i życia. Niemniej jednak są to obozy bardzo charakterystyczne z punktu widzenia losu, jaki przypadł dziś w udziale Polakom, zmuszonym do przebywania w Szwajcarii. Do sektora wojskowego, nadzorującego te obozy i posiadającego swą siedzibę w Aigle, należą jeszcze znajdujące się poza kantonem Valais dwa obozy oficerskie w Heniez i Celigny oraz grupa żołnierzy chorych na płuca w miejscowości uzdrowskiej Leysin.

W dolinie Rodanu, gdzie woda zamieniła się w wino, zadźwięczała mowa polska. Polskie ręce współdziałały ze szwajcarskimi i kontynuują moźolny trud człowieka w walce z przyrodą. Ręce te oderwały się od karczowanej i drenowanej ziemi. Oderwały się kiedyś od skał, którym wyrwywały węgiel i rudę, tak jak odrywają się dziś od Ojczyzny i od swoich myśli tych żołnierzy, którzy karabin zmuszeni zostali zamienić na łopatę i kilof. Ale pozostanie dokonane przez nich dzieło pracy. Zdobyte dla kultury rolniczej nowe tereny głośić będą długo nową opowieść, dorzucając nową baśń do tych bajek i cudów, których pełno w dolinie Rodanu. Błąkać się będzie ta baśń wśród malowniczych szczytów alpejskich, snuć się będzie długą doliną i przypominać dzieje polskiego internowania w Szwajcarii.

Opinie angielskie

Faktem, który wywołał bodajże największą falę oburzenia przeciw przedwojnemu porządkowi gospodarczemu, było niszczenie środków żywności i innych surowców. Kawa topiona w Brazylii, zboże palone w Kanadzie uzmysłowiły ludziom najdobitniej, że coś musi być nie w porządku „na tym najlepszym ze wszystkich światów“. Jeśli Kanada pali zboże w czasie, gdy Chińczycy mrą z głodu, to ustrój, który do tego dopuszcza, jest nie tylko niesprawiedliwy, ale także nieudolny.

Po wybuchu wojny narosły inne problemy międzynarodowe. Anglia potrzebowała broni do walki, którą toczyła pośrednio także w obronie Ameryki. Ale Anglia nie była w stanie za tę broń płacić. Wówczas padło owe słynne powiedzenie Churchilla „give us the tools and we will finish the job“. Ponieważ Ameryka nie mogła w danej chwili przystąpić do wojny, znaleziono inne wyjście z sytuacji: „lease and lend“. Jakko Kolumba. Ameryka pożyczyc Anglii broń, a Anglia zwróci ją po wojnie z uwzględnieniem normalnego zużycia... o ile Ameryka zażąda zwrotu. Od tego czasu praktyka „lease-lendu“ odbiegała dość daleko od tej początkowej idei. Ameryka dawała i daje w ramach umowy rzeczy, których nie można oddać, np. żywność, surowce, półfabrykaty. I wówczas poczęto marzyć o stosowaniu tego systemu także po wojnie. Rozmaici entuzjaści widzieli już w lease-lendzie uniwersalne lekarstwo na wszystkie bolączki tego świata. Ciekawie, że swoistą angielską trzeźwością omawia ten problem Walter Elliot M.P. w „Observer“.

Trzeba mświadomić sobie te trzy rzeczy: 1) lease-lend nie jest handlem. Wręcz przeciwnie, jest sprzeczne z istotą handlu. Handel jest wymianą; lease-lend jest transakcją jednokierunkową 2) lease-lend może być stosowane tylko przez państwa bogate i dobrze zorganizowane, 3) indywidualizm handlu pozwala na pobłażanie wobec niedociągnięć. Lease-lend jako akt państwowy, stanowi natomiast doskonały cel dla ataków na rzad i dlatego wszelkie posunięcia będą skrupulatnie badane i ostro krytykowane. Zmniejsza to elastyczność pomocy. Państwo dające zażąda napewno jakichś gwarancji od państwa odbierającego. To ze swej strony wywoła uczucie upokorzenia, rozgorzczenia i t. d., i t. d. Znamy to. Państwa bywają bardziej przeczulone niż ludzie. Podczas wojny sprawy te wyglądały inaczej. Wina za niedociągnięcia można zwać na „siłę wyższą“, na nieprzyjaciela, na tajemnicę wojskową lub polityczną i t. p. Ale nawet podczas wojny odzywały się głosy niepoohamowane krytyczne. W Ameryce — przeciw wysyłce rozmaitych artykułów luksusowych do Anglii i Australii — o faworyzowaniu frontu europejskiego i t. d.

Obiekcje te nie przekreślały możliwości znalezienia jakieś formuły, która przystosuje lease-lend do warunków powojennych. Jednak podstawa musi być inna. „Rozwój“ musi być pokojowym równowagą między „lease-lendu“. Rozwój bez myśli o wymianie; coś jak ojciec „stawiający“ swemu dorosłemu synowi dobry obiad lub skąpiący siebie, aby odżyło na wychowanie dziecka. W tym wypadku dorosły może bez posądzenia o „niedelikatność“ spytać młodzieńca, jak jego sprawy finansowe wyglądają, i może badać jego możliwości. Taki stosunek jest najtrwalszy i najbardziej owocny. Wypływa z pełnego zaufania, tak rzadkiego między dorosłymi, a prawie nieznanego między narodami. Ta metafora jest równie piękna jak głęboka. Trudność leży tylko w naszej ludzkiej niedoskonałości.

Pierwszego czerwca b. r. toczyła się w Izbie Gmin debata na temat lotnictwa cywilnego. Problem ten jest ośrodkiem poważnej kontrowersji międzynarodowej i społecznej. Posłanka amerykańska Claire Booth Luce wywołała parę miesięcy temu duże poruszenie opinii publicznej, po obu stronach oceanu, swym wystąpieniem w sprawie komunikacji lotniczej po wojnie. Poruszyła sprawę rywalizacji anglo-amerykańskiej na tym polu i w bardzo ostrym i bliskioliwym przemówieniu wypowiedziała się za imperializmem powietrznym Stanów Zjednoczonych. Mowa Mrs. Booth Luce wywołała duży „huczek“. Obecna debata w Izbie Gmin była jej angielskim echem.

Problem jest jednak znacznie głębszy i szerszy niż ten mocno „out of date“ imperializm amerykańskiej posłanki. Major Attlee, wicepremier W. Brytanii, ujął go krótko: „Jak możemy sprawić, aby zdobycie powietrza stało się biogostawieństwem, a nie przekleństwem ludzkości, środkiem który zmniejsza odległości, dzielące członków ludzkiej rodziny, zarówno w duchu, jak i w czasie trwania podróży“. Nie walka konkurencyjna, ale zapewnienie pewnego, łatwego, i szybkiego transportu z jednej części świata do drugiej i w wyniku tego prawdziwe braterstwo ludzi rozmaitych ras i języków — oto problem, jaki się dzisiaj rysuje. Stał on jasno przed oczyma parlamentarzystów angielskich wszystkich partii i wszystkich poglądów. Praktyczność Anglików kładła jednak główną wagę na „jak?“. Jak sprawić, aby samolot przestał być złowrogim narzędziem śmierci a stał się narzędziem postępu? Jak przewiezycieży lek człowieka przed człowiekiem? Jak przejść od wojny do pokoju? Jak pogodzić sprzeczne interesy państw? Czy uwzględnić wątpliwe prawa i interesy jednostek?

Rząd brytyjski nie określił w tych sprawach swego stanowiska. Nikt się takiej wypowiedzi w obecnym stadium nie spodziewał. Mogłoby się to stać tylko w porozumieniu z Dominiami i po uprzednich naradach ze Sprzymierzonymi, a na to nie ma teraz ani czasu, ani sposobności. Niemniej taka debata była potrzebna.

Na marginesie debaty warto przytoczyć ciekawą list, napisany do Times'a przez Mr. H. E. Wimperisa. Dowodzi on, że skoro buduje się obecnie na świecie między 100 a 200 tysiącami samolotów rocznie, zaś przed wojną liczbą samolotów transportowych, czynnych na całym świecie, nie przekraczała 2000 (co wymagało produkcji około 400 samolotów rocznie), to nie należy przypuszczać, aby techniczny problem był zbyt trudny do rozwiązania. I prawdziwym problemem technicznym będzie przedstawienie 90% przemysłu samolotowego z powrotem na produkcję pokojową. Nawet interes prywatnych kapitalistów nie będzie tak przemożny, aby mógł uzasadnić poważne opory. Jeśli zaś chodzi o lotnictwo wojskowe, to także tutaj „bezwzględne poddanie się Niemiec“, jakiego domagała się Sprzymierzni, umożliwi kontrolę wojskową stosunkowo szczupłymi siłami lotniczymi.

Dominik Szczerbiec

* Hans Schmid — „Wallis“ Eln Wenderbuch, 1935.

Z PRASY OBCEJ

Przegląd polityczny

H. G. Wells przeciwko komunistom brytyjskim

Z racji rozwiązania Kominternu i odrzucenia przez Labour Party propozycji Brytyjskiej Partii Komunistycznej, która proponowała połączenie się z Labour Party, H. G. Wells ogłosił w londyńskim tygodniku „Sunday Pictorial” z dnia 6 czerwca 1943 r. artykuł p. t. „Rak komunizmu”, w którym ostro krytykuje Brytyjską Partię Komunistyczną. Redakcja „Sunday Pictorial” zaopatrzyła artykuł ten w następujący komentarz: „Wells pisze prowokacyjny artykuł o Partii Komunistycznej. Niezwykle ciekawe oskarżenie”.

Artykuł swój zaczyna Wells od oświadczenia, że zarówno Wielka Rewolucja Francuska, jak i rewolucja rosyjska 1917 r. były wielkimi czynami, ale że obie jako dzieło ludzi omylnych miały swe wady. Sprzeczności wewnętrzne w komunizmie rosyjskim doprowadziły do usztywnienia pewnych dogmatów ideologicznych i politycznych. To munistyczna. Okazała się ona wybitnie nietolerantna wobec innych lewicowych partii politycznych, jak labouryści i liberalowie. „Wojująca ortodoksyjność” przeszkadzała Rosji w rozwoju stosunków z Zachodnią Europą. W rozmowach z Wellesem Lenin zupełnie fałszywie tłumaczył np., że powstania irlandzkie są ruchem klasowym, a nie nacjonalistycznym. Wells twierdzi, że nie można sobie wyobrazić nawet, ile szkody „emancypacji świata” wyrządziła partia komunistyczna w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat. „Wszędzie reakcja gotowała była płóć jej i subsydiowała ją za atakowanie wszystkich postępów i uczciwych ruchów społecznych i politycznych”. Wells skarży się, że nietolerancja posunęła się tu tak daleko, że tych jego uwag nie chciała zamieścić komunistyczny miesięcznik londyński „Labour Monthly”. Komunistyczny dziennik „Daily Worker” stale powołuje się na Marxa i Lenina „jak stara dewotka na Pismo święte”.

Brytyjska Partia Komunistyczna uważała się za coś w rodzaju Zakonu O. O. Jezuitów. Sądzi ona, że obowiązują ją posłuszeństwo „regulom zakonu”. W rzeczywistości była ona całkowicie zależna od Kominternu.

Wells przytacza długie cytaty z broszurki, w której zestawiono oświadczenia przywódców Brytyjskiej Partii Komunistycznej na temat stosunku do obecnej wojny: wrzesień 1939 r. — Brytyjska Partia Komunistyczna zgłasza się do podjęcia wysiłku wojennego w imieniu „wszystkich zwolenników demokracji w Wielkiej Brytanii”; październik 1939 — „domagamy się niezwłocznych rokowań pokojowych”; listopad 1939 — „jest to wojna imperialistyczna”; luty 1940 — „nie byłoby wojny, gdyby naród miał głos w tej sprawie”; 27 czerwca 1941 — „należy zniszczyć Hitlera”!

Rewolucja rosyjska — ciągnie dalej Wells — przysłała do Rosji z Zachodu i jeśli Rosja nie ma „grzezną w orientalizmie dogmatyzmie, potrzebna jej jest myśl Zachodu jak świeże powietrze”. Dlaczego — pyta się Wells — Rosja nie ma współpracować z Anglią nawet w dziedzinie swej rewolucji? Wielka Brytania — pisze — stoi między Rosją a „nader potężnymi przesadami antybol-szewickimi Ameryki”, które są przecież „wynikiem głupiej i beznadziejnej propagandy komunistycznej”, prowadzonej w Stanach Zjednoczonych. Wells bardzo się cieszy z rozwiązania Kominternu.

W obronie polityki autarkii gospodarczej

Londyński „Times” w numerze z dnia 8 czerwca 1943 r. ogłasza artykuł na temat nowej autarkii powojennej, pióra p. Waltera Elliotta, członka Izby Gmin. Artykuł ten ostro krytykuje wszystkie pomysły wprowadzenia po tej wojnie wolnego handlu. Zdaniem p. Elliotta panuje w świecie fałszywe przekonanie, że dla upowszechnienia dobrobytu należy wszystkie buty z Czechosłowacji sprzedawać w angielskim mieście Leicester, a wszystkie buty z Leicester wywozić do Czechosłowacji. Utań jest fałszywy pogląd, że każde usiłowanie osiągnięcia samowystarczalności gospodarczej jest imperializmem i agresją gospodarczą. Za tego rodzaju agresję uważa się np. imperialne przywileje celne, uchwalone w r. 1932 na Konferencji Imperialnej w Ottawie. Drugie zagadnienie — to zakłady produkcji syntetycznej. Gdy w czasie tej wojny zabrakło kauczuku w Europie i w Ameryce, przystąpiono do zorganizowania produkcji sztucznego kauczuku. Zrazu koszt tej produkcji byłby zbyt wysoki, potem spadł. Czyżby — pyta autor — należało po tej wojnie zniszczyć te zakłady? A ocalić je może tylko polityka pewnego planowania, w danym wypadku obrony celnej.

Stosunki gospodarcze zajął się o zagadnienia polityczne. Wielka Brytania nie ma zamiaru i nie będzie w stanie powrócić tak znaczne jak przed wojną dostawy masła Dania, gdyż kraj ten nie był w stanie się bronić. Masło duńskie bez armat było dla Niemców zachętą do inwazji. Pierwszym pytaniem w sprawie importu cukru z Jawy i bekonów z państw bałtyckich będzie: Czy możemy zapewnić ciągłość dostaw? Jeśli nie, będzie się bekonów przywozić z Kanady, a buraki cukrowe hodować w Norfolk. Autor przychodzi do wniosku, że gospodarka światowa po tej wojnie winna zorganizować się w ramach „obszarów zorganizowanej produkcji, w zamkniętych obwodach gospodarczych i samowystarczalnych regionach”. Może to dotyczyć nie wszystkich, ale pewnych poszczególnych produktów, które są przedmiotem handlu światowego. W Stanach Zjednoczonych jest dwóch „proroków”: Henry Wallace, z zawodu rolnik, apostoł produkcji planowej, i Cordell Hull, apostoł wymiany międzynarodowej. Pierwszy z nich zwycięży, i to dzień w dzień. Ameryka zaczyna stawić na planowanie, planuje na dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat naprzód. Za nią pójdzie świat. Hull nie jest w stanie przezwyciężyć tej tendencji. „Autarkia jest nakazem dla naszego pokolenia, — pisze autor — nauczymy się z niej korzystać, gdyż inaczej może nas zniszczyć”.

Bombardowania Niemiec

Znakomity publicysta brytyjski Harold Nicolson w numerze z dn. 4 czerwca 1943 r. londyńskiego tygodnika „The Spectator” charakteryzuje reakcje Anglików na wzmożone bombardowanie Rzeszy. Autor pisze, że Anglicy uspokajają swoje sumienie następującymi hasłami: zahamuje to produkcję wojenną Rzeszy, wstrząśnie moralnością wroga, skróci wojnę. Nicolson uważa, że wojna

jest rzeczą okropną, ale że nie należy wpadać w przesadę. Oczywiście, nie jest rzeczą przyjemną dowiedzieć się, że wskutek zbombardowania w nocy zapór na rzekach Eder i Mohnie zginie wielu ludzi niewinnych i wiele dzieci. Ale trzeba zaciśnąć zęby i powiedzieć sobie: „Oznacza to skrócenie wojny o sześć miesięcy, oznacza to o sześć miesięcy mniej strachu i nędzy dla Polaków, Czechów, Francuzów i Greków... Smutno uśmiecham się, gdy słyszę w odbiorniku radiowym Deutschlandsender, który cytuję prasę hiszpańską, piszącą o brutalności RAF-u...”

Jak Niemcy będą traktowane po wojnie?

Na temat zasad, według których należy po wojnie traktować Niemcy, toczyła się niedawno w prasie brytyjskiej interesująca dyskusja. Grono konserwatystów, członków Izby Gmin i Izby Lordów, zrzeszonych pod przewodnictwem Sir Wardlaw-Milne'a w organizacji pod nazwą Grupa Powojennej Polityki (Post-War Policy Group), wydało memoriał, w którym określa, jak należy po wojnie traktować Rzeszę. Memoriał ten został ogłoszony w londyńskim tygodniku „Sunday Times” z dn. 16 maja b. r.

Memoriał proponuje, aby po wojnie powołać do życia Międzynarodową Radę Kontroli Niemiec, która by miała za zadanie likwidację przemysłu lotniczego Rzeszy i obniżenie jej potencjału wojennego. Rada ta zajęłaby się także sprawą aresztowania i odania pod sąd zbrodniarzy wojennych. Zbrodniarze ci winni być sądzeni przez sądy wojenne państw, których obywatelami padli ich ofiarami. Rada ma przedsięwziąć kroki, by zbrodniarze wojenni nie ukryli się w krajach neutralnych. Ma ona pilnować, aby w Niemczech nie powstawały organizacje paramilitarne lub szpiegowskie, których zadaniem byłoby odrodzenie życia wojskowego Rzeszy. W ciągu sześciu miesięcy po zawieszeniu broni ma nastąpić zupełna demobilizacja armii niemieckiej. Plan przewiduje okupację Niemiec przez armię aliancką i alianckie lotnictwo na okres, jaki okaże się koniecznym. Prusy Wschodnie jako geograficznie i historycznie odrębna całość w stosunku do reszty Niemiec nie mogą należeć ani do Prus, ani do Niemiec. Nadrenia łącznie z nadreńską Westfalią powinna utworzyć odrębne niemieckie państwo. Alianci muszą objąć kontrolę nad niemieckim radiem, propagandą i produkcją wydawniczą oraz ułożyć programy dla uniwersytetów i innych szkół niemieckich.

Plan ten ogłoszony został wyraźnie dla podkreślenia, że z pobitymi Niemcami nie może być żadnego kompromisu. Jak donosi londyński tygodnik „Observer” z dn. 16 maja 1943, 36 członków Partii Konserwatywnej, którzy podpisali ten dokument, reprezentuje wszystkie odcienie tej partii. W komentarzu swoim pismo dodaje, że memoriał Grupy Powojennej Polityki „przechodzi do porządku dziennego nad zasadami, ogłoszonymi przez Stalina”.

Memoriał ten przyjęty został przychylnie przez prasę prawniczą, która też przedrukowywała go w całości. Z krytyką spotkał się on na łamach prasy lewicowej. Gwałtownie zaatakował go komunistyczny „Daily Worker” z dnia 17 maja 1943, twierdząc, iż został on podpisany przez największych reakcjonistów Partii Konserwatywnej. Z krytyką wystąpiła również liberalna „News Chronicle” z dn. 18 maja 1943 r. Gazeta ta podkreśla, że memoriał ten jest owocem sumiennych studiów, uważa jednak, że zamiary Rządu Brytyjskiego pokrywają się z pewnymi tylko punktami memoriału. Pomysł podziału „nowoczesnych Niemiec” na małe odrębne państwa uznano tu za chybiony. „Oderwanie Prus Wschodnich znajduje może bardziej powszechne poparcie. Będzie ono napewno bardzo podobne do naszym przysięgom Polakom”, pisze p. Cummings, znany zresztą ze swego nieprzychylnego stanowiska wobec Polski.

Z zastrzeżeniami również wystąpił londyński tygodnik „The Economist” w numerze z dn. 22 maja 1943 r. Czytamy tam:

„Być może, że jest to słuszną drogą, jaką należy kroczyć; na ten temat ludzie nie mają tutaj jeszcze wyrobionego zdania. Ale trzeba też sobie i bardzo jasno zdawać sprawę z tego, że linia ta — jeśli się po niej raz pójdzie — odłoży ad Calendas Graecas wszelką możliwość prawdziwego pogodzenia się z narodem niemieckim, teraz albo w przyszłości. że nałoży ona na zwycięzców, a w szczególności na Wielką Brytanię ciężar bardzo rozbudowanych instytucji wojskowych i bardzo znacznego opodatkowania, oraz odpowiednio ciężkie brzemie politycznej i gospodarczej kontroli u siebie, w kraju. Wszystkiego tego, bez wątpienia, społeczeństwo brytyjskie przy obecnym stanie umysłów gotowe byłoby się podjąć, jeśli by było przekonane o jego słuszności i konieczności. Ale jeszcze bardziej zasadniczym żądaniem jest, aby społeczeństwo angielskie, skoro raz pójdzie tą drogą, gotowe było wytrwać na niej przynajmniej przez przeciąg dwóch pokoleń bez wahań i bez ataków obojętności, wyrzutów sumienia, ślepoty czy gnusności. Narzucić warunki, które będą rewolwowały każdego Niemca, a potem, po pięciu latach, pozwolić Niemcom robić, co im się żywnie będzie podobało — to jedyna pewna droga do klęski”.

Nowość

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI BAGNET NA BRON

Poezje 1939-1943

Cena: 150 milsów.

Na papierze czerpanym: 250 milsów.

Do nabycia:

w Jerozolimie: księgarnie „Igarta”, Steimatzky, Ever, „Universitas”, Hasefer, kiosk Egged.

w Tel-Awivie: księgarnie „Renaissance”, „Mikra”, „A.B.C.”, Siegel; kiosk Stadler.

Skład główny:
Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima.

Dnia 25 lipca 1943 r., w XXI roku Ery Faszyzmu, Mussolini podał się do dymisji. Era Faszyzmu równie, Dymisja ta przysłała nagłe i wywołała wielką sensację w świecie, choć jest logicznym rezultatem całego dotychczasowego rozwoju wypadków.

Z perspektywy doświadczeń wojennych wiemy dziś, że faszyzm włoski musiał zbankrutować. Musiał nie tylko dlatego, że nie udało mu się wychować na dobrych żołnierzy Włochów, którzy zawsze bili się źle, że wystarczy tylko przypomnieć historię ostatnich stu lat. W latach 1848-49 zostali pobici przez Austriaków Radeckiego. W r. 1866 ci sami Austriacy, których Niemcy bismarckowskie tak łatwo zwyciężyły pod Sadową, zadali im ciężkie klęski pod Custozą i Lissą. W następnym roku Garibaldi zostaje pobity przez Francuzów pod Mentana. W r. 1896 ambitne plany kolonialne Crispiego załamują się w klęsce, jaką pod Aduą zadali Włochom Abisyńczycy. Wszyscy pamiętamy z poprzedniej wojny paniczną ucieczkę armii włoskiej pod Caporetto. Wyprawa abisyńska, która zresztą wcale nie była wojną błyskawiczną, nie potrafi zrównoważyć tych przykładów: zbyt wielka była tu dysproporcja sił.

A jednak, kiedy źródła klęski włoskiej szukać wyłącznie w tym, że Włosi nie lubią się bić, ograniczyliby się tylko do przyczyn powierzchownych. Doświadczenia wojny dzisiejszej pokazały nam, że zwyciężyć w wojnie nowoczesnej i utrzymać się na stanowisku mocarstwa mogą tylko te państwa, które mają bardzo wysoki potencjał przemysłowy, w szczególności, które mają potężnie rozbudowany ciężki przemysł. Zawsze tak było potrosze, ale dziś rzeczy te wystąpiły na jaw szczególnie wyraźnie. I dlatego wojnę tę wygrywała Anglia i Stany Zjednoczone, których nie tylko nikt nie wychowywał — inaczej niż Włochy — w tresurze wojskowej, ale które nawet nie znały obowiązku służby wojskowej. I dlatego Rosja Sowiecka, która potrafiła potężnie rozbudować swój przemysł uralski i sybirski, może skutecznie opierać się najazdom niemieckim. I dlatego wszystkie przedwojenne wypowiedzi Mussoliniego o nawiązaniu do tradycji światowego imperium rzymskiego oraz o „mare nostrum” brzmiały dziś tak żałośnie niepoważnie. Mussolini przypomina gracza w pokera, który liczyłoby bardzo wysoko, nie mając pokrycia w kartach. Szło to tak długo, póki mu Grecy (i w tem ich wielka zasługa!) nie zajrzeli w karty.

We Włoszech zapanowały rządy wojskowe marszałka Badoglio. W chwili, gdy słowa te są pisane pod bezpośrednim wrażeniem dymisji Mussoliniego, trudno przewidzieć, jaki będzie dalszy rozwój wypadków. Sytuacja, jaka powstaje obecnie we Włoszech, nasuwa uderzające analogie z sytuacją Francji w czerwcu 1941 r. I w jednym, i w drugim wypadku władza przeszła z rąk rządu, złożonego z cywilów, w ręce najwyższego rangą dowódcy wojskowego, który zdobył sobie imię w czasie ubiegłej wojny, ale który w ostatnich operacjach wojennych nie brał udziału. I w jednym, i w drugim wypadku oznacza to reżim kapitulacji.

To też gdyby Włosi byli w tej chwili wyłącznymi panami swego losu, po takim przewrocie powinniśmy się w ciągu kilku dni spodziewać zawieszenia broni i kapitulacji armii włoskiej. Ale my nie wiemy, o ile Włosi są tej chwili panami swego losu. Nie wiemy, jak znaczne siły niemieckie znajdują się we Włoszech. Nie wiemy, czy Niemcy będą woli wycofać się z Włoch, czy też angażując na półwyspie Apenińskim jeszcze więcej wojska, będą starali się tam utrzymać.

Bez względu na to, jak się wypadki potoczą, dymisja Mussoliniego jest dla Niemiec ciężkim ciosem. Radio berlińskie, jak dotychczas, postrzymało się od wszelkich komentarzy. Podano tylko, że Mussolini ustąpił z powodu złego stanu zdrowia i że następcą swym mianował marsz. Badoglio. Nałowność tych tłumaczeń jest miarą zakłopotania, w jakie Niemców wprowadziła dymisja Mussoliniego. Nawet gdyby Mussolini był naprawdę ciężko chory i gdyby rzeczywiście nie mógł sprawować rządów, zrobiliby w innych warunkach wszystko, aby jak najdłużej utrzymać fikcję takich rządów: zbyt dużo symbolizowało jego nazwisko.

Nie można też uwierzyć twierdzeniu, jakoby to Mussolini „naznaczył” marsz. Badoglio swoim następcą. Ordęzia króla i Badoglio mówią mało (reżim kapitulacji nigdy nie ma zbyt wiele do powiedzenia swemu narodowi), ale jedno mówią one bardzo wyraźnie: nowe rządy nie są kontynuacją starych. W obu proklamacjach ani razu nie padło słowo faszyzm. Ordęzia te wspominają nazwisko Mussoliniego tylko poto, żeby powiedzieć, że podał się do dymisji. Nie ogłoszono żadnego pożegnania ordęzia Mussoliniego. Człowiek, który przez blisko czterdzieści lat był dyktatorem Włoch, w ciągu jednej nocy odszedł zupełnie cicho w niebyt historii.

Co najważniejsza, marsz. Badoglio zastąpił się poprzedą bardzo reżimowi faszyzmu i dołożył jej nawet u niego tytułu księcia Adis Abeby (na jakiej kpiny wygląda ten tytuł dzisiaj!), ale nie jest on człowiekiem tego reżimu. Jest to zawodowy wojskowy, znany jako człowiek bliski Kwirynajowi, który swoją pozycję wyrobił sobie jeszcze przed doświadczeniem faszyzmu do władzy w czasie ubiegłej wojny światowej, kiedy po głośnej i niesławnej klęsce wojsk włoskich pod Caporetto w październiku 1917 r. objął wraz z Diazem naczelne dowództwo.

Jeszcze przed przyjściem faszyzmu do władzy typowano go na przyszłego „zbawcę” Włoch, zwłaszcza w kołach arystokratycznych i bliskich dworowi. Opowiadano sobie o nim we Włoszech, że w pamiętne dni „marszu na Rzym” w październiku 1922 r. zgłosił się do króla i poprosił o wydanie rozkazów, obiecując, iż „w ciągu pięciu minut przywróci spokój”. Ale król rozkazu nie chciał wydać, a Badoglio jako karny żołnierz podporządkował się królowi. Jest on też człowiekiem zaufania korpusu oficerskiego, którego stosunki z Milicją faszyzmu wcale nie układały się idyllicznie.

Rządy jego oznaczają próbę uratowania mo-

narchii z katastrofy wojennej i próbę przejęcia władzy po bankructwie faszyzmu przez sferę wojskowo-konserwatywną. Najbliższe tygodnie, jeśli nie dni, pokażą, o ile próba ta się powiedzie. Zobaczymy, czy marszałkowi Badoglio uda się na ziemi włoskiej, na którą mania wielkości Mussoliniego ściągnęła wszystkie okropności współczesnej wojny — przywrócić pokój.

Artykuły, jakie dr. Goebbels ogłasza co tydzień w „Das Reich” i jakie całemu światu udostępniają rozgłosnie niemieckiego radia, zaskakują z wielu względów na baczną uwagę, i to nie tylko dlatego, że dają wyraz opinii sfer młodo-rodajnych. W warunkach dzisiejszych Niemiec obercenzor jest jedynym człowiekiem wolnym od nacisku cenzury; jedynym, który może jako tako swobodnie poruszać tematy drażliwe. Względ zaś na stanowisko urzędowe Goebbelsa, na jego oficjalny prestiż narzuca mu obowiązki poruszania właśnie tych aktualnych, drażliwych tematów, od których mniej wysoko postawiony w hierarchii urzędowej publicysta może się wykreślić siecią nieobowiązujących frazesów.

Dnia 18 lipca „Das Reich” przyniosło artykuł Goebbelsa o wojnie nerwów. Treść tego artykułu wygląda pokrótce tak: w r. 1918 Niemcy przegrali wojnę, bo załamali się nerwowo pod wrażeniem zwycięstw sprzymierzonych. Dzisiaj jednak słabość ta się już nie powtórzy, i Niemcy nie załamają się w wojnie nerwów. Przeciwnie sukcesy wojenne sprzymierzonych są drobne w porównaniu z tymi zwycięstwami, jakie wojska niemieckie odniosły w ciągu pierwszych dwóch lat wojny.

Artykuł Goebbelsa przynosi jedną niewątpliwą prawdę, jedno bardzo cenne wyznanie i jeden charakterystyczny trick propagandowy.

Prawdą, z której i po stronie sprzymierzonych wszyscy dobrze zdają sobie sprawę, jest, że Niemcy dziś nie załamają się i nie poddają się tak łatwo jak w r. 1918. Wiele przyczyn złożyło się na to: Niemcom brak dzisiaj tych ośrodków zorganizowanej opozycji, jakie istniały za czasów cesarstwa. Propaganda hitlerowska zdolała wytłumaczyć Niemcom, że przegrana w tej wojnie będzie dla nich równoznaczną z katastrofą, że walczą w tej chwili nie tylko o urzeczywistnienie takich czy innych celów politycznych, ale o istnienie. I w tym twierdzeniu jest pewien procent prawdy. Wołanie o ukaranie zbrodniarzy wojennych jest dziś w świecie dużo energiczniejsze i powszechniejsze niż za czasów ubiegłej wojny. Co najważniejsze zaś, w tamtej wojnie przez zbrodniarzy tych rozumiano się drobną stosunkowo grupę najwyższych niemieckich dygnitarzy wojskowych z Wilhelmem II na czele. Dziś jest inaczej. Dziś Hitler związał ze sobą zbrodniarstwami dziesiątki tysięcy Niemców. Ludzie ci wiedzą, że z klęsk nie zdolają uratować niczego, dosłownie niczego, i zrobią wszystko, co jest w ich mocy, aby wojna ta prawdomówno była przez Trzecią Rzeszę do ostateczności. A zrobić mogą dużo, bo przecież oni przede wszystkim znajdują się na kluczowych, najbardziej decydujących stanowiskach.

Dla nas jednak artykuł Goebbelsa ciekawy jest nie ze względu na te prawdy. Wiedzieliśmy o nich i bez niego. Najciekawsze jest w nim co innego. Oto z artykułu tego z najbardziej miarodajnych ust dowiadujemy się, że Niemcy uważają, iż weszli obecnie w stadium wojny, dla którego analogii trzeba szukać w sytuacji Niemiec z r. 1918, z przed kapitulacją. Łatwo zrozumieć, że desant wojsk sprzymierzonych na Sycylię może nasunąć Niemcom analogię z operacją salonicką i jej następstwami: wrzesniową kapitulacją Bułgarii, poddaniem się Turcji, które ostatecznie doprowadziły do dezorganizacji całego frontu bałkańskiego. W tym zestawieniu argument Goebbelsa, że zwycięstwa sprzymierzonych w porównaniu ze zwycięstwami Niemiec są drobne, trudno uznać za szczęśliwy. I w tamtej bowiem wojnie Niemcy odnieśli szereg efektownych zwycięstw, zajęli olbrzymie terytoria (ba, znaleźli się nawet na Kaukazie). I wtedy zwycięstwa Aliantów w porównaniu z niemieckimi mogły być uważane za drobne. Miały jednak nad tamtymi tę wielką przewagę, że były ostatnie i — ostateczne.

A trick? Kryje się on w samym tytule, mówiącym o wojnie nerwów. Rzecz bowiem oczywista, że artykuł Goebbelsa spowodowany został tymi echemi, jakie wywołał w Niemczech udany desant sprzymierzonych na Sycylię. I oto w obliczu tego desantu Goebbels stara się Niemcom wyperswadować, że to tylko jeszcze jedno posunięcie z wojny nerwów, którego głównym celem jest wytrącenie Niemców z równowagi. Jeśli tylko zdolają zachować zimną krew, zapanują nad swymi nerwami, sparuja wszystkie szkodliwe następstwa tego desantu. Jak wiadomo, jednym z najczystszych tricków, stosowanych przez lekarzy wobec pacjentów, jest wzmawianie choremu, że jego dolegliwości są jedynie nerwowego charakteru. Czasem się to udaje: pacjent wierzy. Trudno jednak przypuścić, żeby pacjent, któremu np. amputują nogę, mógł uwierzyć, że wszystkie jego przypadłości mają wyłącznie nerwowe podłoże.

Goebbels stara się swym artykułem obniżyć doniosłość sycylijskiej operacji sprzymierzonych, sprowadzić ją na boczny tor epizodu w wojnie nerwów. Od czasu konferencji w Casablance sprzymierzeni wojnę tę prowadzili w sposób bardzo intensywny: podróż Churchill'a do Turcji, enuncjacja w sprawie wojny powietrznej, powódź najsprzeczniejszych poglądów na temat terminu i miejsca desantu sprzymierzonych — wszystko to były epizody z wojny nerwów. Posunięciem także i z dziedziny wojny nerwów był olbrzymi nalot na Rzym. Ale tym razem idzie o coś znacznie istotniejszego. Żadne znieczulenia propagandowe nie potrafią zakryć przed Niemcami cierpkiej wymowy komunikatów wojennych, które mówią, że wojska sprzymierzonych wdary się do „twierdzy europejskiej” i zwycięsko prą naprzód.

ww.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezael Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press

MASZYNY BIUROWE

Reperacje — wszelkie artykuły biurowe —
Pieczałki — Polskie czcionki do maszyn do pisania

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON

Tel-Aviv, ul. Herzla 13 Tel. 2623

